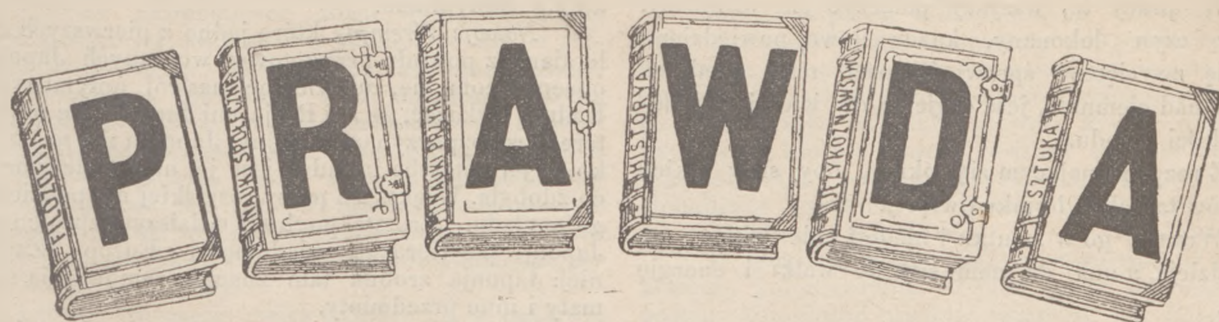
Nr. 1 (1511). Warszawa, 1 stycznia 1910 r. **Rok XXX.**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Na Nowy Rok.

W księdze dziejów naszych znowu jedna odwróciła się karta, jak wiele kart poprzednich, osnuta siecią smutku i niedoli.

Nie pierwszy to raz witamy rok nowy przytłoczeni brzemieniem ucisku i prześladowań, w ostatnich latach wszakże jest to tym cięższe dla nas, że przychodzi po krótkich błyskach radosnego oczekiwania.

Reakcja wyciąga swe wychudłe ramiona i obejmuje nas nimi coraz silniej. Społeczeństwu znowu zamknięto usta i odebrano cały szereg instytucji kulturalnych i oświatowych.

Nacjonalizm rosyjski coraz nowe wynajduje drogi, by powiększyć jeszcze ucisk, a wtóruje mu nacjonalizm nasz rodzimy, siejąc waśń plemienną i niezgodę wewnątrz kraju. Klerykalizm zbroi się do walki ze wszystkimi przebłyskami światła i stara się odzyskać panowanie, zachwiane w krótkich chwilach „wolnościowych". Wszystkie siły wstecznictwa wszelkiego rodzaju i nazwy, łączą się aby zniszczyć te pierwiastki lepszego jutra, które na jeden moment rozbłysły na zachmurzonym od lat tylu horyzoncie naszego życia.

A jednak, choć ze smutkiem, ale nie bez nadziei, witamy ten Rok Nowy.

A czerpiemy ją z głębokiej wiary w siły narodu, który wśród tylu burz zachować potrafił niewzruszone poczucie swego bytu, z głębokiej wiary w postęp, w dążenie ludzkości ku światłu, ku hasłom wolności, równości i braterstwa!

Zwyciężą one z czasem brutalną siłę i ciemnotę, jak zwyciężają je już w krajach, które osiągnęły wyższy stopień rozwoju.

Przebłyski jego i u nas widzieć się już dają.

Ujawniają się one w ustępstwach, które hasłom postępowym robią ciągle ich przeciwnicy, w licznych, a poczytnych wydawnictwach, w instytucjach, służących światłu i kulturze, w tych wszystkich objawach, które są żywym protestem przeciwko wstecznym zasadom klerykalizmu i nacjonalizmu.

Pomimo pozornej ich przewagi w tej chwili, około sztandaru postępowego jednoczy się coraz więcej ludzi, a wzrastająca napastniczość żywiołów wstecznych powiększa ilość ich przeciwników.

Dziś, na progu Nowego Roku, uważamy za właściwe przypomnieć to, aby zbudzić ufność we własne siły, ożywić nadzieje, rozproszyć zwątpienia. W złożonych stosunkach politycznych i społecznych naszego kraju, pod wpływem pism i skarg „realistów" wszelkiej nazwy, siejących pełną garścię pesymizm i zniechęcenie w społeczeństwie, wielu ludzi opanowywa niechęć czynu, niewiara w jego skuteczność.

Ale niechęć to niesłuszna, niewiara nieusprawiedliwiona.

Żniwa ciągle trwać nie mogą; poprzedzać je musi ciężka, znojna praca orki i siewu, poprzedzać je musi długi okres wzrostu.

I w historji społeczeństw każda reforma, każde pożądane przeobrażenie musi być owocem długich, mozolnych i planowych usiłowań, jeśli ma być trwałe i skuteczne.

I właśnie okres, który przeżywamy w tej chwili, takie usiłowania wypełniać winny.

Zwą go zwykle okresem reakcji i może z wielu względów słusznie, ale tryumfy jej, jak zawsze, są chwilowe i nie ona buduje przyszłość, należącą do tych drobnych, codziennych wysiłków postępu, które, w chwili właściwej, łącznym swym wpływem pchną społeczeństwo naprzód.

Nie opuszczajmy więc rąk dlatego, że przeżywamy chwile reakcji, nie łudźmy się pozorami jej czasowej przewagi, ale siejmy ziarna przyszłości, abyśmy żąć co mieli, kiedy pora żniwa nadejdzie.

W pracy tej wszyscy połączyć się winniśmy. Każdy czyn dokonany, każde słowo, powiedziane w imię zwycięstwa sprawiedliwości nad gwałtem, światła nad ciemnotą, jest cegiełką do wielkiej budoprzeszłości narodu.

Z rozpoczynającym się rokiem, oby słów takich i czynów takich było jaknajwięcej!

Witamy go w smutku i niedoli, ale witamy go i z nadzieją, a ona da nam siły do walki i energję czynu.

Antagonizm Japońsko-Rosyjski.

Tydzień ubiegły przyniósł bardzo mało wiadomości dotyczących położenia rzeczy na Dalekim Wschodzie; te jednak nie są bez znaczenia.

Okazuje się więc, że pertraktacje między Rosją a Japonją utknęły i że rząd mikada zamyśla wcielić Koreę do Japonji. Pisma zachodnio-europejskie twierdzą, że Rosja nie będzie nawet protestowała przeciwko aneksji Korei, może jednak zrobią to Stany Zjednoczone A. P. i Anglja. Co do tej są wszelako poważne wątpliwości.

Warunkowe zajęcie jakiegoś kraju przez państwo potężne zawsze się kończy jego aneksją; to też przyłączenie Korei do Japonji nie byłoby dziwne i, w gruncie rzeczy, niczby nie zmieniło w stosunkach faktycznych. Rosja, nauczona doświadczeniem z Austrją, w sprawie Bośni i Hercegowiny, nie zechciałaby się zbytnio angażować na Dalekim Wschodzie z powodu spodziewanego przyłączenia Korei do Japonji.

W łonie rządu rosyjskiego ścierają się podobno dwa prądy: minister spraw zagranicznych Izwolskij chciałby mieć wolne ręce na półwyspie Bałkańskim i dlatego lekceważy niebezpieczeństwo na Dalekim Wschodzie łudząc się, że nie jest groźne (minister finansów Kokowcew podziela te poglądy); natomiast inaczej na te sprawy patrzą prezes ministrów Stołypin i minister wojny Suchomlinow.

Podobno p. Izwolskij ma opuścić swoje stanowisko, a miejsce jego zajmie p. Sazonow, związany blizko z p. Stołypinem.

Nowoje Wremja, które jedno z pierwszych robiło alarm z powodu przygotowań wojennych Japonji—obecnie cofa się, ujawniając nastrój optymistyczny. Usiłuje wykazać, że ani Rosja, ani Japonja nie mają interesu w rozpoczynaniu wojny, Japonja ma to wszystko co jej potrzeba i trudno jest jej nawet utrzymać to, co zdobyła. Większość prasy rosyjskiej nie podziela tego poglądu. Zresztą pogłoski o dalszym zbrojeniu się Japonji potwierdzają wiadomości z Europy Zachodniej: Japonja zrobiła tam znaczne zamówienia na armaty i inne przedmioty.

Zachodzi teraz pytanie, czy istotnie Japonja może dążyć do nowych zdobyczy, ważnych dla jej dalszego rozwoju, czy też, jak twierdzi *Nowoje Wremia*, nic jej nie potrzeba?

Uważne rozejrzenie się w mapie Dalekiego Wschodu ułatwia odpowiedź na powyższe pytanie.

Usadowiwszy się w Korei, Japonja chce oczywiście wzmocnić swą pozycję na lądzie stałym Azji i osiągnąć zupełne panowanie na morzu Japońskim. Żeby cel ten osiągnąć, dąży prawdopobnie do opanowania kraju Ussuryjskiego i rosyjskiej części Sachalinu. Gdyby Japonji udało się to uzyskać, morze Japońskie byłoby otoczone ze wszystkich stron jej posiadłościami, a flota jej byłaby swobodniejsza. Kraj Ussuryjski jest bogaty i urodzajny.

Dziś już Japończycy stanowią w nim prawie 10% ludności, skupiając w swym ręku cały prawie handel.

Sachalin posiada też wartość nie małą. Uzyskaną już jego część, po ostatniej wojnie, Japończycy zdołali w ciągu lat kilku zmienić nie do poznania, co stwierdzają sami Rosjanie. Wyspa ta posiada nie wyzyskane jeszcze bogactwa...

W tej chwili, pomijając fantastyczne przypuszczenia dotyczące Kamczatki, Japonja ma prawdopodobnie skromniejsze cele, bardzo jednak realne, łatwiejsze do osiągnięcia dziś, niż później.

Chcąc sprowokować Rosję do wojny, Japonja wysuwa zapewne Chiny, które są niezadowolone z polityki rosyjskiej w północnej Mandżurji.

---

12)

Sibilla Aleramo.*)

KOBIETA

przełożyła z włoskiego

STANISŁAWA GALLONE.

(Ciąg dalszy).

A teraz wszystko co zaszło sprowadzało się dlań do nic nie znaczącego. drobnego epizodu! Zrozumiałam, że cieszył się z afrontu, jaki spotkał tamtego, że był mi wdzięczny, że nareszcie budziła się w nim ufność, że, jestem związaną z nim, że kocham go, że czuję się jego rzeczą...

Czerwiec złocił pola. Morze było jednym blaskiem, wielkim, oślepiającym marzeniem. Nie widziałam go, gdyż nie wychodziłam z domu; czasem tylko wieczorem robiłam kilka kroków z mężem, w opustotzałej stronie miasta, wzdłuż szyn kolejowych. Zazdrość jego nie zmniejszyła się; rano, dzięki obecności posługaczki, mogłam swobodnie krążyć po mieszkaniu, z wyjątkiem pokojów, których okna wychodziły na ulicę, Po obiedzie zaś, w obawie, bym kogokolwiek nie przyjęła, zamykał mnie na klucz do godziny szóstej wraz z dzieckiem w sypialnym pokoju, z oknem na zapuszczony ogród. Dziecko spało przez dwie lub trzy godziny. Ja haftowałam przy oknie, bawiąe się nieraz widokiem swych szczupłych rąk, nabierających w promieniach słońca dziwnej przezroczystości. Zamknięcie to nie poniżało mnie; doznawałam nawet pewnej rozkoszy w tym pognębieniu mych buntujących się zmysłów, w tej wschodniej niewolniczości.

Było to odpoczynkiem, który powracał mi siły. Myślałam o swym ciemięzcy ze wzrastającą litością i prawie zupełną rezygnacją. Miłość? Pozwoliłam mu mieć nadzieje, a on bardzo szybko w nią uwierzył. Prawda, że jego uściski mroziły mnie, ale tymbardziej chciałam wynagrodzić mu w inny sposób swą obojętność zmysłową.

Och, z pewnością, nie do rozkoszy, lecz do cierpień miłości byłam stworzoną!

On był zadowolony z mego spokoju. Wspominał o przeszłości po to tylko, by pytać mnie, czego mi brakło, i otwarcie robić sobie wyrzuty.

*) Patrz Nr. 49 z 1909 r.

Niezawodnie p. Izwolskij myli się sądząc, że Rosja ma żywotniejsze interesy na półwyspie Bałkańskim aniżeli na Dalekim Wschodzie.

Bułgarja i Serbja doszły już do takiego rozwoju życia narodowego, że trudno przypuścić, aby stać się mogły zupełnie biernym narzędziem w rękach Rosji...

Interesy ekonomiczne Rosji wymagają chyba więcej potęgi jej na Dalekim Wschodzie niż na półwyspie Bałkańskim. Trudno więc zrozumieć, czego właściwie chce p. Izwolskij? Może cała jego polityka bałkańska ma jedynie na celu zaatakowanie Austrji? Ale gdyby nawet tak było istotnie, gdyby po wojnie rosyjsko-austryjackiej Rosja zdobyła na nieprzyjacielu Galicję, co jest zupełnie nieprawdopodobne, to i wówczas jeszcze nie przyniosłoby to jej korzyści ze stanowiska panującej w niej obecnie niepodzielnie polityki nacjonalistycznej.

Istotnie znacznie zwiększyłaby się w państwie liczba Polaków i Żydów; rusiński ruch narodowy, silnie rozwinięty w Galicji, przeniósłby się do Małorosji, wzmacniając odśrodkowe dążenia.

Niepodobna więc zupełnie zrozumieć motywów polityki p. Izwolskiego.

Może spodziewane jego ustąpienie spowoduje powrót do dawnej polityki: do złagodzenia stosunków z Austrją przez silniejsze zbliżenie się z Niemcami i do usiłowań wzmocnienia stanowiska Rosji na Dalekim Wschodzie.

Ludwik Kulczycki.

Uprzemysłowienie Poznańskiego.

W. Ks. Poznańskie i Prusy Zachodnie są najmniej uprzemysłowione i najsłabiej zaludnione [1]) ze wszystkich dzielnic Polski.

O dążeniu do uprzemysłowienia Galicji mówiono i pisano dużo w ostatnich latach; o uprzemysłowieniu Poznańskiego dotąd mowy nie było, a jednak kwestja ta ma tam bardzo doniosłe i coraz bardziej aktualne znaczenie Dotychczasowy rozwój politycznych i ekonomicznych stosunków polskiego społeczeństwa w zaborze pruskim postawi je w najbliższym czasie wobec konieczności rozwiązania tego zagadnienia, a tymczasem wytworzył cały szereg nowych warunków, które to rozwiązanie umożliwiają.

Ponieważ przed kilkudziesięciu laty w tych nawskroś rolniczych prowincjach żywioł polski był prawie wyłącznie osiadły na wsi, natomiast miasta i miasteczka zamieszkałe przez ludność urzędniczą i drobno mieszczańską skupiały głównie żywioł niemiecki i żydowski, który z czasem również stał się niemieckim, cały napór polityki giermanizacyjnej rządu i nacjonalistów pruskich skierowany został na to, by Polakom wydrzeć z rąk ziemię.

W tym celu między innymi stworzono w 1886 r. komisję kolonizacyjną. Znane mapy unaoczniające postępy kolonizacji pruskiej świadczą, jak dalece skuteczną okazała się jej działalność w tym kierunku. Każda jednakże tego rodzaju akcja polityczno-społeczna prócz zamierzonych i bezpośrednich swoich następstw wywołuje pośrednie i niezamierzone, które stają się równie potężnymi jak ona czynnikami dalszego rozwoju. Systematyczne wypieranie Polaków z ziemi wywołało również i takie zjawiska, które nie leżały w intencjach twórców kolonizacji a kwestję polską uczyniły bardziej skomplikowaną. Do nich w pierwszym rzędzie należy odpolszczenie miast i miasteczek, bujny rozwój drobnomieszczaństwa polskiego i jego ekonomiczne wzmocnienie.

Drugim następstwem było podnoszenie się cen ziemi, wzmożenie się spekulacji gruntami, równoległy do niemieckiej rozwój parcelacji polskiej i — z jednej strony rozdrobnienie własności ziemskiej, z drugiej — skutkiem ułatwionego kredytu hipotecznego i równoczesnego (w następstwie polityki celnej) wzrostu cen produktów rolniczych—podniesienie się wartości i wydajności gospodarstw rolnych.

Jakkolwiek Polacy dużo ziemi stracili, ci co się na niej utrzymali lub co ją nabyli, zaczęli robić lepsze interesy; tak dobre nawet, że aż do uchwalenia ustawy o wywłaszczeniu z powodzeniem współzawodniczyć mogli z komisją kolonizacyjną w nabywaniu gruntów.

Wypieranie z ziemi polskich właścicieli spadało ciężarem na polskich robotników. Wzmogła się emigracja zarobkowa ludu polskiego na Zachód Niemiec

[1]) Patrz dzieło J. B. Marchlewskiego „Stosunki społeczno-ekonomiczne w ziemiach polskich zaboru pruskiego."

Trudno mi było odpowiadać, pragnęłam oszczędzić mu przykrości, nieraz jednak czułam niezwalczoną potrzebę wypowiedzenia się.

Spostrzegałam, że ze swej strony zajęty był rozmyślaniem, które kładło na jego czoło głęboką zmarszczkę. Zmarszczkę bolesną i dziecinną jednocześnie, jak człowieka, który stara się zrozumieć jakieś niezwykłe zjawisko, a odczuwa jedynie własną niemoc.

Dziecko łączyło nasze serca, kazało wierzyć w wzajemne dotrzymanie obietnic spokoju. Ono to osładzało moje zmartwychstanie! osładzała je świadomość, że nie utraciłam go, że opieka moja go nie opuści. Dla niego, — dla niego! żyję, by uszlachetnić swą duszę, by stać się „matką" w najwyższym znaczeniu tego słowa!

Nachylałam się nad łóżeczkiem, wpatrywałam się w uśpioną twarzyczkę swego syna, w zachwycającą twarzyczkę o czystych i już zdecydowanych linjach i spokojna wiara wstępowała w mą duszę. Jego tylko prosiłam w myśli o przebaczenie; nie czułam się poniżoną wobec niego; być może, była to świadomość, że miłość moja dla niego nie ulegała nigdy żadnej zmianie, że był zawsze osią mych myśli, i to czyniło mnie godne jego nieświadomego błogosławieństwa.

Może, było to tylko prawem krwi: wszak te członki powstały ze mnie, ożywione są moim tchnieniem; teraz i zawsze ta drobna istota powinna być odbiciem moich czynów, walczyć wraz ze mną, aby wejść na wyżyny.

Po raz pierwszy odczułam zbawienny wpływ ciągłej obecności swego syna. Moja miłość dla niego pogłębiła się i jednocześnie stała się bardziej prostą, tracąc wszystko, co było dziecinnym lub przeczulonym. Imię jego było amuletem teraźniejszości, symbolem przyszłości; zakreślało swymi paroma sylabami nowy horyzont.

Jednocześnie życie domowe płynęło szare, przykre. Siostry moje, nieświadome niczego, wyjechały na kilka tygodni do Turynu do krewnych, ja w dalszym ciągu pozostawałam pod kluczem, a teściowa i bratowa, na szczęście, były nieobecne.

Czasem rano na parę chwil przychodził doktór. Był mniej wymownym, niż dawniej. Niepokoił się stanem mego zdrowia. Gdy żartem zwracałam jego uwagę na mą niewolę, pochylał głowę, a chmura przebiegała po jego twarzy; po chwili z wysiłkiem, nie uchodzącym mej uwagi, obracał to w żart, zaklinając mnie jednakże bym nie poddawała się, bym żądała jakiejś rozrywki, podróży, w oczekiwaniu dni spokojniejszych. Bawił się z dzieckiem, ciesząc się jego zdrowiem i siłą, mimo braku świeżego powietrza i ruchu. Obejście jego ze mną było coraz serdeczniejsze,

i to zarówno osiadła jak sezonowa. Pod wpływem pierwszej powstały liczne ogniska polszczyzny, w samym sercu Niemiec; druga — t. zw. ruch obieżysasów, wzmagała napływ do kraju drobnych oszczędności, lokowanych bądź to bezpośrednio w ziemi, bądź też w rozwijających się szybko polskich bankach ludowych i polskich kasach pożyczkowych.

W tym samym bowiem czasie, gdy rząd pruski rzucał miljony w bezdenną otchłań kolonizacji, gdy banki niemieckie nadmiarem swej gotówki zasilały hypoteki ziemskie wschodnich prowincji stanowiące bardzo pewną i korzystną lokatę, skutkiem walki narodowej na polu ekonomicznym i społeczeństwo polskie zmobilizowało wszystkie swoje oszczędności i zasoby. Z wielkim powodzeniem rozwijano propagandę, która w polskich instytucjach kredytowych skupiła miljony, złożone z uciułanych przez chłopskie ręce oszczędności, ukrywanych przedtym starannie na dnie malowanych skrzyń, w pończochach i innych tradycyjnych kryjówkach. Składanie pieniędzy w polskich bankach ludowych stało się takim samym obowiązkiem narodowym jak kupowanie sprawunków u polskich kupców. Organizacja tych wszystkich instytucji drobnego kredytu złączonych w jeden Związek Spółek Zarobkowych i posiadających wspólny Bank centralny, oddała społeczeństwu polskiemu w rękę ster jego interesów materjalnych i umożliwiła mu nawet prowadzenie w tej dziedzinie własnej polityki finansowej.

Ideowość antypolskiej polityki pruskiej, która bez żadnych dla państwa korzyści topi miljony w prowincjach wschodnich, nietylko przynosi zyski materjalne spekulującym na hakatyzmie Niemcom: agrarjuszom, urzędnikom i przedsiębiorcom, lecz zarazem wywołuje pewnego rodzaju pieniężne przekrwienie tych dzielnic i pośrednio wzmaga dobrobyt nieuprzywilejowanej wprawdzie lecz niemniej ekonomicznie związanej z miejscowymi konjunkturami ludności polskiej.

Dobrobyt polskiego chłopa, polskiego rzemieślnika, polskiego sklepikarza nawzajem podnosi rynek zbytu dla wyrobów niemieckiego przemysłu. Miejscowy polski przemysł na większą skalę nie istnieje.

Gdy u nas hasło bojkotu przemysłu niemieckiego chciano ograniczyć takim zastrzeżeniem, by nie czynić uszczerbku naszym rodakom zza kordonu, przekonano się, że wszyscy polscy kupcy w Poznaniu, Bydgoszczy, Toruniu czy Gdańsku handlują wyłącznie wytworami fabryk niemieckich i są w ścisłej zależności handlowej od niemieckich hurtowników.

Na tę zależność zwraca w ostatnim czasie uwagę na łamach *Kurjera Poznańskiego* p. Filipowicz, który w szeregu artykułów pod t. „Miljard" i „Rubikon" głosi hasło uprzemysłowienia ks. Poznańskiego.

Wedle jego obliczeń rynek polski daje niemieckiemu przemysłowi i handlowi corocznie 300 miljonów marek zarobku. Te trzysta miljonów — zdaniem p. Filipowicza—możnaby w znacznej części zatrzymać w kraju i w polskich rękach, gdyby społeczeństwo polskie przez świadome i zorganizowane wysiłki zmierzało do wytworzenia własnego wielkiego przemysłu i własnego handlu hurtowego na rozległą skalę.

Myśl rzucona przez p. Filipowicza może spotkać się nietylko z argumentowaną opozycją, lecz również i z praktycznymi trudnościami, których rozmiarów a priori przesądzać nie można. Pan Filipowicz, przewidując je, nie uważa ich bynajmniej za nieprzezwyciężone.

Wylicza on następujące przeszkody, które określa mianem „Rubikonu" — zapewniając, że prędzej czy później przebyć go będzie trzeba:

1-o Brak węgla na miejscu.
2-o Brak żelaza i innych kruszczów.
3-o Brak kapitału.
4-o Brak rynków zbytu.
5-o Brak sił fachowych.

Co do pierwszego i drugiego punktu dowodzi on, że wielki przemysł rozwija się pomyślnie w takich prowincjach Prus, które własnego węgla i żelaza nie posiadają, a koszta transportu mają mało co tańsze niż ks. Poznańskie. Brak kapitału jest jego zdaniem rzeczą względną; uruchomienie kapitałów polskich lokowanych na mały procent w bankach zagranicznych oraz zerwanie z jednostronnym zwyczajem lokowania ich wyłącznie na hipotekach ziemskich, dałoby zupełnie wystarczające zasoby do pchnięcia w ruch polskiego handlu i przemysłu.

W kwestji rynków zbytu p. Filipowicz poleca głównie rynek wewnętrzny, który zdobyć należy uświęconym hasłem „Swój do swego". Jeżeli istotnie polskim konsumentom zawdzięcza przemysł niemiecki 300 miljonów marek dochodu rocznie, to znaczy, że rynku tego lekceważyć nie można. Zresztą przykład samych Niemców, którzy na przekór granicznym kordonom daleko na wschód rynek zbytu dla swych towarów rozszerzają, winienby być zarazem zachętą i wzorem.

---

a zarazem i ostrożniejsze; jakgdyby ogarnęło go nowe uczucie szacunku dla mnie. Byłam mu wdzięczna, bo przynosił ze sobą powiew tego szerokiego świata, który, zdawał się już umarłym dla mnie, a jednak zawsze upragnionym.

Od doktora dowiedziałam się, że konsekwencje mej „awantury" nie były wyczerpane. W rzeczywistości nie wiele osób wierzyło oskarżeniu; większość przypuszczała że była to intryga przecięta w zarodku. Lecz partja klerykalna zajęła się tą sprawą. Honor mój był w jej szponach, trzeba było go bronić.

Naturanie było to obowiązkiem mego męża. Lecz tamten zajął stanowisko człowieka, bezpośrednio zainteresowanego w sprawie. Robił wszystko co mógł, by być zaczepionym, by módz okazać swą wyższość szermierską i niewątpliwie, by dać do zrozumienia, że ma powody do obrony mego honoru.

Ohydne zboczenia zmysłu moralnego, nie zraniłyby mnie głęboko, znałam bowiem obłudę i zepsucie otoczenia, gdyby nie uwidoczniły nowej plamy na charakterze mego męża. Zauważyłam, że czuł konieczność pojedynku, nie w obronie mojej, lecz swojej opinji. Jego miłość własna cierpiała. A jednocześnie bał się!

Doktór energicznie starał się wszystko załagodzić. Po licznych pertraktacjach „adwokat" złożył świadkom mego męża, szumne i przebiegłe oświadczenie, że jestem „najszanowniejszą". Mąż mój wyraził swe zadowolenie, zadowolonymi zdawały się być też obie partje, traktujące mą opinję, jako sprawę publiczną.

Wszystkie poniżenia jakimi karmiono mnie, wszystkie podłości, popełniane w mych oczach, kompromisy i kłamstwa, pożądliwość ciała i nikczemność ducha, zdarzenia ironiczne i zdarzenia potworne wynurzały się pośpiesznie z mej pamięci naprożno błagając o spokój, zapomnienie... Niczego już nie kryły przede mną zdradliwe zasłony.

Poniżając się, nie mogłam nawet mieć ulgi w usprawiedliwianiu tego, który mnie uciskał. A mój syn, mój syn był nową ofiarą wśród dwojga skutych ze sobą skazańców.

Kto go ocali, uprowadzi daleko, gdzie mu wpoją cnoty ludzkie?

XI.

Po zakończeniu ohydnej sprawy honorowej, mąż mój uspokoił się; zaprzestał powrotów do przeszłości.

Najpoważniejszy szkopuł zdaniem p. Filipowicza stanowi brak wykwalifikowanych polskich sił fachowych, ale jest oczywistą rzeczą, że usunięcie tego szkopułu leży już wyłącznie w rękach polskiego społeczeństwa, które posiadając bogatą instytucję Tow. Pomocy Naukowej dla młodzieży, może jej wykształceniu celowo nadać odpowiadający jego interesom i dążeniom kierunek.

Nie odrazu zrosztą Kraków zbudowano. Pan F. nie sądzi, aby można od razu na wszystkich polach rozpocząć walkę z konkurencją niemiecką; obiecuje raczej wskazać te gałęzie wytwórczości, które najłatwiej rozwinąćby się dały.

Nie przesądzając wyników propagandy wszczętej przez p. Filipowicza w organie Polskiego Towarzystwa Demokratycznego należy jednak zwrócić uwagę na moment, w jakim się ona zjawiła.

Niewątpliwie prawo o wywłaszczeniu miało na celu przyspieszenie dzieła wynarodowienia ziemi polskiej oraz obniżkę wielce wyśrubowanych cen ziemi, które działalność komisji kolonizacyjnej czyniły bardzo kosztowną.

Do akcji wywłaszczeniowej dotychczas rząd pruski nie przystąpił, może z obawy rozpętania apetytów chłopów niemieckich, u których hasło „Precz z baronami" — coraz popularniejszym się staje. Jeżeli jednak — jak zapewnia nowy kanclerz — prawo to nie pozostanie na papierze, wywoła ono nieuchronnie wycofanie z ziemi i uruchomienie licznych polskich kapitałów. Już samo istnienie takiego prawa zmniejsza z natury rzeczy dążność do kupowania ziemi ze strony Polaków. Kapitały te muszą szukać lokaty. Wykupywaniu ziemi na Śląsku, w Brandeburgji i Pomeranji może rząd pruski łatwo kres położyć przez proste rozszerzenie prawa o wywłaszczeniu na te prowincje, do czego już słynny prof. Bernhard zachęty nie szczędzi. Nie pozostanie może istotnie nic innego jak rzucenie całej masy kapitału w przemysł i handel i przeniesienie walki polityczno-ekonomicznej na to nowe, mniej ograniczeniom podlegające pole.

Powstanie polskich fabryk miałoby to olbrzymie społeczne znaczenie, że zatrzymałoby w kraju liczne zastępy robotników polskich stale emigrujących na Zachód a częściowo tonących w morzu niemieckim. Co więcej; jedynie wraz z rozwojem przemysłu mogłaby powstać nieistniejąca prawie w Poznańskiem klasa inteligiencji niezależnej i stopniowo przeciwważyć wpływy kleru, który obecnie stanowi najbardziej niezależną grupę wśród klas wykształconych.

Wytworzenie się tych dwuch warstw społecznych samo przez się wywołałoby przełom w życiu wewnętrznym społeczeństwa polskiego tych dzielnic i stanowićby mogło podłoże prądów postępowych, któreby i politykę pchnęły na nowe tory.

I. Moszczeńska.

Demokracja Chrześcijańska we Francji.

1. Historja ruchu

W r. 1894 uczeń Marc Sangnier urządził w sali rekreacyjnej liceum *Stanislas* w Paryżu rodzaj wolnych dyskusji i pogadanek, pod pobłażliwym i przychylnym okiem władz szkolnych. Pośród młodzi zapalnej, skorej do ryczałtowych sądów i skrajnych uogólnień, Marc Sangnier, przyszły twórca francuskiej demokracji chrześcijańskiej („Le Sillon") wyróżnił się rychło szczególną, *pośrednią*, syntetyzującą metodą rozumowań, przez co ściągnął na się sprzeczne epitety „socjalisty" z jednej — „mnicha" i „apostoła" z drugiej strony.

Metodzie swej i poglądom pozostał odtąd wierny. Podjęte na ławie szkolnej dzieło prowadził dalej w Politechnice, na tle starych tradycji demokratycznych tej wzorowej uczelni, skąd wychodzą najlepsi w świecie artylerzyści, chluba dzisiejszej Francji...

W r. 1899 Marc Sangnier porzuca wojsko w stopniu porucznika aby oddać się niepodzielnie umiłowanej idei — i zakłada związek „chrześcijańsko — demokratyczny", nabywszy zarazem na własność młody miesięcznik *Le Sillon*, który stał się rychło popularnym. Sangnier jest człowiekiem bardzo majętnym, co tłómaczy poczęści sukces jego dzieła, ale bezsprzecznie w daleko większym stopniu zawdzięczać to trzeba jego płomiennej wymowie, niepożytej energji, niezachwianej wierze i współdziałaniu szczerych ideowców, przeważnie z pośród byłych kolegów „mistrza" z Politechniki i Szkoły Normalnej. Wytworzył się wokół tego ośrodka rodzaj elity moralnej, promieniującej naokół szlachetnym pojmowaniem zadań istotnego chrześcijaństwa.

W tym czasie, pod egidą papieża Leona XIII

W dalszym ciągu jednak nie wychodziłam z domu, spędzając godziny popołudniowe w pokoju zamkniętym na klucz, mając widywać jedynie rodzeństwo, doktora i służącą, a wszystko to pod pozorem najzupełniejszej swobody, z przygotowaniami tak naiwnymi, że mogłyby mnie rozśmieszyć, gdyby śmiech, pomimo kończących się mych zaledwie lat dwudziestu nie był zupełnie dla mnie obcym. Starałam się unikać wszelkich powodów nieporozumień, uprzedzałam jego życzenia, lecz bardziej, by okupić spokój własny i syna, niż przez litość. On, jak dawniej, znowu stał się zamkniętym, głuchym.

Spragniony spokojnego zadowolenia rad był wypadkowi, który oddał mnie w jego ręce zwyciężoną, zrezygnowaną, bierną. Bez wzgardy obserwowałam jego szybki powrót do spokoju i pewności siebie. Nie mogłam już nic zrobić, ani dla siebie, ani dla niego.

W te dni nieskończonej samotności, oderwana od świata, pozbawiona wszelkiej nadziei i wiary, w książce znalazłam ratunek.

Była to pierwsza książka, którą wzięłam do rąk po wielu miesiącach. Przysłał mi ją ojciec, który od czasu, gdy odrzuciłam zrobioną mi propozycję powrotu do jego domu, uważał mnie za milczącą ofiarę i coraz bardziej rozgoryczony, unikał spotkania ze mną.

Autorem książki był młody socjolog.

Dzieło jego niedawno ogłoszone, okryło sławą jego imię. Mówił o swych podróżach po nowych krajach, prowadząc profanów i sceptyków na pole poważnych zagadnień, wypływających z kontrastu dwuch cywilizacji. Rzadka intuicja i wybitna zdolność uogólniania nadawały wartość jego dziełu, którego każdą stronicę ożywiało serdeczne ukochanie ludzkości.

Być może, gdyby zamiast tej książki, wpadł mi wtedy w ręce jakiś poemat, pogański lub mistyczna rozprawa, życie moje inną potyczyłoby się koleją. Lub być może nie poddałabym się żadnemu wpływowi i żyłabym w nieuleczalnym odrętwieniu?

Nie płakałam, nie egzaltowałam się, nie czułam w sobie żadnego przewrotu. Stronice książki treścią swą odpowiadały porządkowi, w jakim myśli moje rozwijały się od dzieciństwa.

I właśnie dlatego że nie otwierały przede mną nieznanych przepaści, że delikatnie, prawie niewidocznie, wiodły mnie w krainę ukrytych myśli,

i kard. Rampolli, katolicy francuscy — ściślej: lewe, postępowe ich skrzydło — weszli w okres chwilowego zresztą pojednania z duchem demokratycznym własnej ojczyzny. Nic dziwnego zatym, że Marc Sangnier spotkał się z wyrazami zachęty i uznania nie tylko ze strony światlejszych biskupów, ale i z wyżyn Watykanu. W samym Paryżu *Le Sillon* był przez czas pewien beniaminkiem opinji liberalnej i umiarkowanej. Świetne nazwiska akademików, uczonych, pisarzy i polityków jaśniały na afiszach, prospektach i odezwach, którymi zasypano kraj. Zebrania i wiece *Sillon'u* różniły się i różnią — bardzo pochlebnie od zgiełkliwych, niesfornych i często bójkami mąconych meetingów nacjonalistycznych i robotniczych. Mocą gorącej perswazji, spartańskim duchem wychowania przybocznej „młodej gwardji" (tak zwie się grono młodzieży, pełniącej ochotnie służbę bezpieczeństwa i porządku na zebraniach dem.-chrześc.) zdołał Sangnier tchnąć ducha ładu, rygoru i prawdziwej tolerancji w ten tłum francuski, żywy, zapalny, skory do ostrego sarkazmu i homerycznych sporów. Wybitni, zdeklarowani wrogowie mogli zabierać głos na tych wiecach, zbijać doktryny *Sillonu*, krytykować dogmaty religijne, ujawniać intrygi kleru — i rzecz we Francji niesłychana: publiczność siedziała spokojnie, pod bacznym okiem „młodej gwardji", a Marc Sangnier i jego uczniowie bronili swych twierdzeń rzeczowo, poprawnie i kurtuazyjnie. W ten sposób odbyły się słynne wieczory dyskusyjne z udziałem Juljusza Guesde'a, dogmatyka nieprzejednanego socjalizmu, Ferdynanda Buissona, wodza francuskich radykałów, i wielu innych. Pewnego razu zjawił sie w sali Victor Charbonnel, były ksiądz, później zajadły antyklerykał, człowiek znienawidzony przez prawicę, to też obecni nacjonaliści wszczęli groźny tumult, a członkowie *Sillonu* z największym trudem, z narażeniem własnego życia, zasłonili swego przeciwnika przed drapieżnym i fanatycznym motłochem. Okazało się wówczas, że prawdziwa idea chrześciańska najmniej jest pojmowana i najbardziej poniewierana przez tych, co się mają za prawowiernych, jedynych i niezłomnych obrońcow wiary — ów niezliczony gmin, co dnia podszczuwany, judzony i rozpalany umiejętną kampanią prasy wstecznej i ultramontańskiej kazalnicy.

2. Organizacja i zasady.

Sillon nie jest ani stronnictwem, ani stowarzyszeniem; nie ma programu, ani statutów; *c'est un mouvement d'opinion* — jak powiada Marc Sangnier w liście do redakcji *Temps'a*. Zamiast więzi partyjnej, zachodzi tu czysto ideowa spójnia przekonań i uczuć. Jedyne określone grupy — to *cercles d'études* w liczbie 400 rozsiane po Francji, W tych „kółkach" stanowiących czynne ośrodki propagandy, przeważa żywioł ludowy: 46 proc. robotników, 28 proc, oficjalistów i urzędników, 12 proc. inteligiencji wolnozawodowej, 9 proc. księży i kleryków (w r. 1906). Pomienione kółka grupują się luźno wokół lokalnych związków (*Sillons régionaux*), te zaś są zogniskowane stale w centrali Paryskiej (*Sillon Central*) na bulwarze Raspail 34. Tutaj też mieszczą się redakcje dwuch organów: miesięcznika *Le Sillon* i tygodnika *l'Eveil Démocratique*; ten ostatni bije 50,000 egz. i od 1 stycznia wychodzić zacznie codziennie, Tyle co do organizacji; rzućmy teraz okiem na treść ideową tego sympatycznego ruchu. Zgodnie z nazwą, kojarzy on 2 główne pierwiastki: *demokrację* i *chrześcijaństwo*. Marc Sangnier i jego uczniowie są szczerymi republikanami; gorąco przywiązani do postępowych tradycji swego kraju, witają rozdział Kościoła i Państwa jako akt dodatni, pożądany dla religji i dla społeczeństwa— czym różnią się niezmiernie od klerykalizujących papistów, „Demokracja—pisze Sangnier we wzmiankowanym liście — jest dla nas ustrojem społecznym, który dąży do *maximum* rozwoju i samowiedzy cywilnej każdego człowieka". A dalej: „kochamy demokrację nietylko dlatego, że sprzyja ona dobru klas najliczniejszych i najbardziej krzywdzonych, lecz dlatego przedewszystkiem, że umie podnieść stopień godności osobistej człowieka i powiększyć niejako umysłową i moralną jego pojemność... Jesteśmy zaś republikanami, bo Rzeczpospolita wydaje nam się najdoskonalsią formą demokracji politycznej". Tutaj też zachodzi rozdźwięk wyraźny między *Sillon*'em, a prawowiernym katolicyzmem, który, jak wiadomo, wielokrotnie przeklął demokrację i republikanizm. Na gruncie dążeń społeczno-ekonomicznych *Sillon* nie stawia bezwzględnych nakazów, nic nie przesądza zgóry, ale wita życzliwie mozolne dzieło przemian gospodarczych, które pragnie podnieść proletarjat do poziomu należnego współczynnika produkcji materjalnej.

W dziedzinie reform parlamentarnych *Sillon* staje rezolutnie pod znakiem radykalizmu (Kodeks Pracy, czyli higjena fabryczna, emerytury robotnicze, odpoczynek tygodniowy, podatek postępowy od dochodów, ubezpieczenia od bezrobocia, kalectwa i chorób,

---

ukazując mi bogactwa zbyt długo zaniedbane — stronice te były dla mnie zbawieniem.

Coraz więcej czaru miały dla mnie chwile, gdy w zamkniętym pokoju, obok spokojnie bawiącego się dziecka, zastanawiałam się nad tym, co przeczytałam; przypominałam sobie rojenia lat dziecinnych, dodawałam spostrzeżenia i uwagi swe do uwag autora; nieświadomie współdziałałam w jego idealnej budowie świata. Czar ten usuwał rozpaczliwe widziadła teraźniejszości, osładzał mą samotność, bronił mnie przeciw marności drobnych faktów życia codziennego.

Kiedy rozsądek zwyciężał zazdrość mego męża i skłaniał go do spaceru ze mną, czułam niewypowiedziane znużenie pod wpływem spojrzeń ludzkich i obawę spotkania tego człowieka, który mógł zbudzić znowu w duszy mego męża dawne brutalstwo. Gdy spostrzegałam go, samego, czy w towarzystwie, zbaczałam z drogi, za milczącą zgodą męża.

Oskarżałam się o tchórzostwo. Czemu istnienie tego człowieka nie było dla mnie obojętnym, nie mającym ze mną nic wspólnego?

Nie czułam doń nienawiści, lecz drżałam, słysząc jego imię, jak drży się, kiedy wobec nas wymieniają nazwę choroby, która nas lub kogoś blizkiego prowadzi do grobu. Gdy znajdowałam się w towarzystwie sióstr, już prawie dojrzałych, ogarniał mnie przestrach: czy i one mnie podejrzewały?

Czy oszczerstwo doszło i do nich?

Starszą z nich, od kilku miesięcy kochał młody inżynier z poblizkiego miasteczka; człowiek niezmiernie inteligientny, stworzony do walki, pełen szlachetnych dążności... Przedstawiałam siostrze, by zastanowiła się poważnie, zanim odrzuci zupełnie uczucie tego człowieka.

Teraz, po długim okresie niepewności, oznajmiła ojcu, że podziela uczucie swego konkurenta i że zaczeka, aż ustali swą pozycję. Wobec tego, że ojciec nie stawiał przeszkód, nie ukrywając jednak swego niezadowolenia, narzeczeni widywali się, pisywali do siebie, poznawali się. Miłość jego stała się uczuciem opiekuńczym, sympatja jej — wdzięcznym przywiązaniem. Ustalał się wzajemny szacunek, kreślący przyszłość coraz pewniejszą w ich oczach pełnych wzajemnego zaufania. Tak więc do posępnego domu ojca wpadał dzięki miłości, promień nowego życia, przenikał obcy wpływ, który zdobyć miał z czasem dobroczynną przewagę. Cieszyłam się szczerze i protego-

sąd rozjemczy i umowa zbiorowa). Zgodnie również z programem radykalnym sądzi *Sillon*, że dzieło reform państwowych będzie fikcyjne i połowiczne, jeśli lud ze swej strony nie podeprze go własną inicjatywą i własną zabiegliwością, w postaci związków zawodowych, ubezpieczeń wzajemnych i stowarzyszeń współdzielczych na najszerszą skalę.

Pierwiastek religijny, *chrześcijański*, ujawnia się w tej pracy w momencie, kiedy należy sprzęgnąć interes osobisty z dobrem ogólnym; jak wiadomo, praktyka demokracji radykalnej i wolnomyślnej opiera to niezbędne skojarzenie na t. zw. *solidaryzmie*. Marc Sangnier uważa jednak, że tylko nakaz religijny, tylko chrystjanizm „będący niepożytym źródłem energji demokratycznej, mocen jest sprzęgnąć interes jednostki z interesem ogółu w myśl nakazu: kochaj bliźniego swego, jak samego siebie".

„Taką — konkludje — wykreślamy sobie drogę ku demokracji. Jesteśmy rewolucjonistami, bo ustrój obecny nas nie zadawala i pragniemy go zmienić, poczynając zresztą od siebie, bo trzeba w sobie dokonać uprzedniej rewolucji, zanim ją dokoła siebie wytwarzać. Jesteśmy zarazem zwolennikami tradycji. Postęp jest dla nas uruchomioną tradycją; chcemy prowadzić dalej dzieło ojców i czynić nie to, co oni czynili, ale to, co mogli by najlepsi z pośród nich uczynić, gdyby żyli w obecnym czasie.

Pozatym Francja jest dla nas ojczyzną najbardziej *ludzką*, tradycyjnie zwróconą do spraw ogólnego znaczenia i zawsze dość szlachetną, aby ponieść najkrwawsze ofiary gwoli ogólnoludzkiego dobra. Ciasny szowinizm, który ją wielbi bałwochwalczo i fałszywie, zawsze gotowy dla rzekomej racji stanu podeptać sprawiedliwość i prawdę — nie jest uczuciem francuskim i źle służy ojczyźnie".

3. Stanowisko.

Od pierwszej chwili istnienia był *Sillon* przedmiotem wściekłych napaści ze strony skrajnych ośrodków lewicy i prawicy. Umiarkowania i taktu nie mogli mu wybaczyć zapalni stronnicy nagłego przewrotu (anarchizm i syndykalizm rewolucyjny) oraz nieprzejednani ultramontanie i monarchiści, którzy lubią podszywać się pod nazwę nacjonalistów, liberałów i antysemitów. Najpoważniejsze natomiast stronnictwo postępowe (*parti radical et radical-socialiste*) miarodajnymi ustami F. Buissona widzi w demokracji chrześcijańskiej „wielką siłę moralną, zorganizowaną przez wolność i dla wolności". (Mowa w r. 1903). Nie tając zresztą różnic zasadniczych i każdemu widocznych między wolnomyślnym solidaryzmem a etyką ewangieliczną, F. Buisson podkreślił słusznie cechy wspólne i pokrewne demokracji chrześcijańskiej i demokracji świeckiej: „metody wolnościowe i duch republikański". Bez porównania bardziej i zajadlej trapiony jest *Sillon* napaściami z prawej strony; zachowawczy katolicyzm zawsze patrzał nań krzywo, wbrew pojednawczym intencjom Leona XIII; cóż dopiero, gdy Pius X zasiadł na tronie pontyfikalnym! Republikańskie *credo* Marca Sangnier'a rozpętało gniew bojującego kleru; szczerość uczuć demokratycznych zraziła doń możnych i utytułowanych protektorów. Czyniono liczne i podstępne zamachy na niezależność *Sillonu*, usiłowano wcielić demokrację chrześcijańską do grup wyznaniowych, jak np. *Association Catholique i Action Libérale.* Doznawszy oporu, poczęto przypuszczać wściekłe ataki, operując zwykłą bronią obmowy, fałszu i zakulisowych knowań. Kampania ta idzie dotąd *crescendo*.

Sangnier pisze o tym z goryczą: „Ciosy, które nam wymierzano, były często bardzo brutalne. Działając krytycznie i bezstronnie, odtrąciliśmy współdziałanie „żółtych syndykatów", bo te są aż nazbyt widocznie prowadzone przez wsteczników i rojalistów. Odpowiedziano nam stekiem obelg i oszczerstw. Jednocześnie odbywała się zręczna, obłudna i krecia robota naszych wrogów po zakrystjach, biskupstwach — nawet w Watykanie. Usiłowano zdyskredytować nas w oczach kleru i odstręczyć od nas młodych księży i seminarzystów, co się do nas garnęli. Rzucono podejrzenie na naszą prawomyślność, denuncjując nas, jako utajonych „modernistów". Nie mogąc uczynić z nas kacerzy, uczyniono z nas — buntowników. *Sillon* jest rzeczywiście wyrazem świeckiej opinji i uznaje autorytet Kościoła jedynie w sprawach religijnych, odmawiając mu tego w polityce — z tym zaś ultramontanie nigdy się nie pogodzą..."

W kwestji *stronnictw wyznaniowych* ma *Sillon* ustaloną opinię. „Czyż to nie jest najwstrętniejszym klerykalizmem — woła Marc Sangnier — rzeczą wręcz przeciwną chrześcijaństwu, owo pomieszanie dwuch pierwiastków, wyraźnie przez samego Chrystusa rozgraniczonych? Utworzenie partji katolickiej, która chce zredukować religję do ciasnych ram koterji, przyczyni się najskuteczniej do upadku Kościoła we Francji, gdyż stanie się on niepopularny olbrzymią niepopularnością starych, przeżytych stronnictw".

---

wałam tę miłość, której płomień urzeczywistniał w życiu siostry moje; marzenia, w zarodku prawie rozwiane.

W końcu lata mąż mój postanowił odbyć podróż, by odpocząć, rozerwać się, by uspokoić me poszarpane nerwy i wzmocnić siły dziecka. Tydzień jednak spędzony w Wenecji był niewypowiedzianie smutny.

Obecność dziecka nie pozwalała nam na gruntowne zwiedzanie muzeów i kościołów, a z drugiej strony mąż mój najzupełniej pozbawiony dobrego smaku i nie mający pojęcia o pięknie i sztuce, nie był towarzyszem przyjemnym i psuł mi najbardziej podniosłe wrażenia. Wyjazd z Wenecji sprawił nam ulgę, lecz i w odległym kącie Tyrolu, gdzie zatrzymaliśmy się, smutek nas nie opuścił.

Miejscowość była piękna; wązka dolina szumiąca wodospadami, cała zielona od jodeł i sosen, otoczona białymi wierzchołkami gór.

Ach, być samą z synem w tych lasach, wychować go w szkole natury, uczynić wszystko, by całe jego życie rozwijało się harmonijnie i szlachetnie!

Był tak zadowolony, biegając po ukwieconych ścieżkach, radośnie witając stada krów o srebrnych dzwonkach!

W hoteliku gdzie mieszkaliśmy, mały był jakby uśmiechem, uroczym kwiatem, który wszystkich zachwycał.

Mąż mój, który po raz pierwszy był w górach, wybuchał głośnymi wyrazami podziwu i robił naiwne spostrzeżenia, pewny. jak zwykle, swego zdania, dumny, że może wydać w sposób wykwintny własne oszczędności, spragniony mej wdzięczności. I gdy spostrzegał mój smutek, oburzał się: jakąż kobietą jestem? Nic mnie nie zadawala!

Uspokoiwszy się, skłaniał mnie do ułożenia projektu naszego powrotu do domu, do próbowania znowu rozrywki pisania...

Dlaczegoż nie miałabym zacząć pod wrażeniem tej uroczej miejscowości?

Słuchałam go ze znużeniem, tak, jak słucha się człowieka obcego, który mówi o naszym cierpieniu i daje rady, nie znając nas wcale. Ja sama nie wiedziałam wówczas czego mi było potrzeba. Czułam się tylko coraz bardziej samotną; zmuszałam się do dzielenia się wrażeniami z mężem, aby mógł czytać we mnie jak w otwartej książce, a jednak zdawałam sobie sprawę, że najgłębsza treść mego życia była we mnie zamkniętą, była *jedynie moją*... D. C. N.

Ponieważ ostatnimi czasy prądy ultramontańskie poczynają przeważać w Kościele (czego dowodem tworzenie się stronnictw katolickich na Zachodzie i u nas) przeto rozdźwięk stale się pogłębia. D 22 listopada r. b. wpadła mi w oczy następująca notatka w pismach: „Z powodu kongresu *Sillon'u* w Lugdunie, Jego Eminencja kardynał Coullié, arcybiskup lyoński i prymas Gallji, przypomina, że osobom duchownym brać udziału w zebraniach tego związku pod żadnym pozorem nie wolno".

Le Sillon uważać tedy trzeba za sympatyczną i, niestety, chybioną próbę skojarzenia dwóch pierwiastków, zasadniczo-rozbieżnych i gruntownie skłóconych: demokracji i katolicyzmu. Kto wie, może to próba ostatnia.

Gdym w roku zeszłym opuszczał doroczny kongres *Sillonu*, mile uderzony podniosłym i spokojnym nastrojem tych 10,000 osób zgromadzonych w olbrzymiej hali nad Sekwaną — rzekłem do jednego z „młodej gwardji", który mi uprzejmie towarzyszył:

— Gdyby nie ta wieża Eiffla przed oczami, miałbym zupełne złudzenie, że opuszczam zebranie pierwszych chrześcijan!

— Powiedz pan: ostatnich... — odparł mój przewodnik. I spojrzawszy nań, pojąłem, że w tym słowie kryje się smutna prawda.

Leon Gorecki.

LIBERUM VETO.

Kogut Micylla.

Czytelnik łatwo pojmie, że mogłem być zdziwiony, ujrzawszy w nocy na stole, przy którym pracowałem, żywego koguta. Ochłonąwszy z wrażenia, zacząłem mu się przypatrywać i dostrzegać jakieś rysy znajome. On nie ruszał się, milczał i przechyliwszy głowę, patrzył na mnie rozumnym i uśmiechniętym okiem. Nareszcie przypomniałem sobie:

— Od Micylla?... rzekłem.

— Poznałeś mnie... Tak, od Micylla...

— Skąd się wziąłeś u nas i u mnie?...

— W podróży... Wysłał mnie Jupiter...

— Czyż jeszcze żyje?

— Żyje, ale dogasa. Odsłonię ci wielką tajemnicę. Kiedy w pamiętnej walce pokonał go żydowski Jehowa, nasz władca świata wraz z całym dworem olimpijskim (do którego i ja należę) schronił się w lodowych grotach bieguna północnego, gdzie przebywał dotąd. Nikt nie domyślał się jego tam obecności, chociaż gdybyście posiadali gienjusz grecki, odgadlibyście, że ta zagadkowa łuna, którą nazywacie zorzą północną, musi być blaskiem jakiegoś boga. Przez dziewiętnaście wieków siedzieliśmy w tym ukryciu spokojni i bezpieczni, gdy pewnego dnia przybiegła przerażona oceanida z doniesieniem, że do bieguna zbliżają się ludzie. Zdrętwieliśmy.

— I stąd mnie wypierają—rzekł Jupiter, a w jego oczach sperliły się łzy rzewnego smutku.

Cały dzień spędziliśmy w pognębieniu. Wieczorem wpadła druga oceanida, wołając radośnie:

— Odeszli!

Po twarzy boga rozlało się wesele. Znowu żyliśmy jakiś czas w błogim zadowoleniu. Aż oto przed kilku tygodniami przyleciał z południa zadyszany Euros i przyniósł wiadomość, że ludzie pływają na statkach po powietrzu i coraz dalej posuwają się ku biegunowi. Usłyszawszy to Jupiter zbladł i zwiesił swoją wspaniałą głowę.

— Nadszedł wreszcie kres naszego pobytu na ziemi — przemówił wreszcie. Musimy się rozstać. My bogowie przesiedlimy się na inną planetę, wy duchy obleczcie się w ciała ludzkie.

Pożegnawszy nas serdecznie, Jupiter odleciał ze swym orszakiem w przestrzeń a my rozproszyliśmy się po różnych krajach. Ja wybrałem sobie wasz.

— Dlaczego?

— Oddawna dolatywały do nas głuche wieści, że jesteście narodem filozofów. Mówiono nawet, że u was chłopi, przywożący do Warszawy miotły, zabierają z powrotem na puste wozy zbywających mędrców, z których robią komposty. Wiadomo ci z mojej opowieści Micyllowi, że byłem Euforbusem, Pytagorasem, Aspazją i Kratesem. Pojmujesz, że duch mój przebywając w tak znakomitych postaciach, nie chciałby wejść w pośledniejszą i dlatego postanowiłem wcielić się u was. Tymczasem spotkała mnie przykra niespodzianka, którą zechciej mi wytłumaczyć przez wzgląd na sympatję, jaką zawsze okazywałeś starożytnym grekom.

— O ile będę umiał.

— Ponieważ Micyll był nietylko zdatnym szewcem, ale dobrym człowiekiem i ponieważ rozstałem się z umierającą ojczyzną w postaci koguta, więc tę formę przybieram najchętniej. Ale przybywszy do Warszawy, zmieniłem ją na ludzką, bo zapamiętałem przestrogę Jupitera, który usłyszawszy o moim zamiarze wyjazdu do Polski, rzekł przy pożegnaniu: Pamiętaj, że tam obowiązuje przysłowie: jeśli wleziesz między wrony, musisz krakać jak i ony — i że djabła nazywają „odmieńcem". Według zwyczaju ateńskiego zapytałem pierwszego przechodnia:

— Powiedz mi obywatelu, kto u was jest najmędrszy?

— Naprzód ja nie jestem obywatelem — oburknał — ale księdzem a powtóre najmędrszym jest najgłupszy.

Zagadnąłem drugiego, który odrzekł:

— W Warszawie nie ma obecnie ani jednego rzeczywistego tajnego radcy

Dopiero trzeci oświadczył:

— Józef Pióropusz, który mieszka na ulicy... pod nr...

Podążyłem według adresu. Przyjął mnie mężczyzna urodziwy, ubrany polichromicznie: pantofle miał czerwone, spodnie fijoletowe, kurtę niebieską i — co dziwniejsza — włosy zielone.

— Tłum sądzi, że nazwa obywatela jest najzaszczytniejszym tytułem, jak mniema, że słonina jest największym przysmakiem. Chcesz pan wiedzieć, co uważam za objaw gienjuszu ludzkiego? Piękny giest. Niestety, mój niekulturalny naród zdobywa się łatwo na wytrzymałość w głodzie, na cierpliwość w męce, na śmiały rzut w ofierze, ale na piękny giest zdobyć się nie może. A o to głównie chodzi. Poradziłem mu, ażeby zaprenumerował sobie najnowsze poglądy europejskie; nie nauczył się jednak z nich dobrej pozy. Nie umie siedzieć na wspiętym koniu spiżowym z buławą lub zwojem papieru w wyciągniętej ręce.

Mówił jeszcze dalej w ten sposób. Podziękowawszy mu za tę kaskadę słów, której ani kropli nie pojąłem, wyszedłem na ulicę strapiony bezradnością. Gdy rozmyślam, co począć, przelatuje koło mnie chłopiec, wołając: „*Asan Dobrodziej*, najpoczytniejszy dziennik za dwa grosze!" — „Gdzie redakcja?" — pytam go. — „W tym domu" — rzekł. No przecie tam mi wskażą największego filozofa w Warszawie. Rzeczywiście wskazano. Był na miejscu. Oryginalny człowieczek, jakiego nie widziano nawet w naszych mitach tak bogatych w odmiany ludzkie. Z małego korpusu zamiast szyi wystawał kij, na którym osadzona głowa z dziesięcioma twarzami obracała się ciągle, tak że gdy jedne usta zaczęły mówić, inne kończyły. Przedstawiłem mu się szczerze.

— Wiem, wiem... rzekł pospiesznie. Byłeś Eu

forbem, synem Eschylosa, Potym Kratesem, słynnym lekarzem w Rzymie. Potym Aspazją, kapłanką Ansity...

— Nie, szanowny mężu — przerwałem mu — małe nieporozumienie: pierwszy nazywał się Euforion, drugi Krateros, a kapłanka Anity...

— Tak mniemano, ale według najnowszych badań...

— Te badania się mylą — wtrąciłem.

— Nie mylą się, wierz mi... Zostały zupełnie potwierdzone gruntownym referatem Pikwika na kongresie grafologicznym w Pauzolipie, na którym byłem dobrowolnym delegatem od Ziemi Vespuciego.

— Czy jednak mistrzu się nie mylisz?

— Ja mylić się nie mogę, bo jestem — uważaj, ażebyś spamiętał — psychologiem, socjologiem, zoologiem, botanikiem, mineralogiem, fizykiem, chemikiem, historykiem, fizjologiem, filologiem, medykiem, rolnikiem, technikiem, balonistą, strategiem, estetykiem, etykiem, modystą, higjenistą a w potrzebie nawet organistą.

Oniemiałem wobec tego ogromu wiedzy.

— Ileż ty wieków żyjesz, mistrzu? — zapytałem.

— Krótko, mój gościu, bardzo krótko... Dziś długie życie dla zdobycia tylu wiadomości nie jest potrzebne. Tem właśnie różni się epoka obecna od dawnych albo raczej Warszawa od innych ognisk cywilizacji. Ty, ażeby być Euforbem, Pytagorasem, Aspazją, Kratesem, musiałeś wstępować w ich ciała kolejno i potrzebowałeś na to wiele lat; mój duch może odbyć wszystkie przemiany w ciągu godziny. Słuchaj: „Energja potencjalna... w heksametrze... saletry chilijskiej... podczas wojny trzydziestoletniej... organów trawienia... mamuta i pierwotniaków... w związku z krystalizacją węgla i objawów nieświadomych... w dziele Hannibala pod tytułem „Wielka Niedźwiedzica”. . na cztery instrumenty dęte”...

Tu głowa jego zaczęła się tak szybko kręcić, wyrzucając oderwane wyrazy, że wszystkie jej twarze zlały się w jedną kulę. Nakoniec zwolnił jej ruch i rzekł:

— Uważałeś iloma naukami przemówiłem? Nie dość tego. Ja umiem pisać uczone rozprawy o wypadkach które się nigdy nie stały, o książkach, których nigdy nie widziałem, o wykładach, których nigdy nie słyszałem; umiem wiązać nazwiska autorów z tytułami dzieł, do kogo innego należących, umiem wszelkiemu bezsensowi i zmyśleniu nadać wagę mądrości...

— A jakże to przyjmują twoi czytelnicy?

— Z podziwem. Możliwe zaś ich wątpliwości usuwam wtrącanym często zapewnieniem: „według najnowszych badań”. Każdego z nich hypnotyzują te słowa, wobec których najpodejrzliwszy myśli sobie: widocznie są jakieś nowe badania, których ja nie znam. Niech cię to nie gorszy. Największym człowiekiem jest ten, który najlepiej odpowiada potrzebom swojego miejsca i czasu. Otóż moje miejsce i mój czas wymagają zuchwałej wszechwiedzy, co złośliwcy nazywają bezczelnym nieuctwem. Tylko ci, którzy na to się odważą, są u nas słuchani i szanowani. Na uczonych specjalistów nikt nie patrzy, co najwyżej pies zaszczeka. To są dziś u nas ludzie najbardziej zbyteczni. Ignorant jest szczytem piramidy, ułożonej z 99 na 100 warszawiaków; czy można wyżej stanąć i mieć mocniejszą podstawę? Jeżeli tedy zamierzasz u nas wcielić się w jakąś postać godną poprzednich, to radzę ci, zostań filozofem warszawskim, wszechwiedzem, Arystotelesem lub Leibnitzem *Asana Dobrodzieja*. Studjować, czytać książek nie potrzebujesz, oprócz jednej, która ci wystarczy we wszystkich wypadkach a ma tytuł: *Encyklopedja, Wörterbuch, Lexicon* lub *Dictionnaire*. Dowidzenia, bo muszę dziś jeszcze napisać o komecie Halleya, poemacie Konopnickiej, wydawnictwach gwiazdkowych i świeżo zmarłym w cyrku szympansie.

— Co ja mam o tym myśleć? — zapytał kogut, skończywszy opowiadanie.

— Jest to rzeczywiście najmędrszy człowiek w Warszawie — odrzekłem. Usłuchaj go, albo uciekaj.

Poseł Prawdy.

NA DOBIE.

Stanisław Krzemiński.

Do hymnów jubileuszowych dodawana bywa zwykle mniejsza lub większa przesada. Wobec tego człowieka niepotrzebna jest najmniejsza odrobina chwalczego kłamstwa: wystarczy prawda i szczerość. Przez 50 lat działalności obywatelskiej był tak czysty, jak łzy, które nad cierpieniami swego narodu ronił; przez tyleż lat pracy literackiej rósł ciągle w znaczeniu i ciągle sam się zmniejszał w zasłudze. Jeżeli człowiek, jak ziemia, odbywa dwa obroty: jeden około osi własnego interesu a drugi około osi dobra społecznego, to w nim nie można było dostrzedz pierwszego. Żył prawie wyłącznie narodem, jego radościami, które były bardzo małe i rzadkie, jego bólami, które były bardzo wielkie i częste. Rzetelnie skromny, usuwał się z widowni życia, choć nie przeoczał najmniejszych jego drgnień. Nie chciał być osobą, widzialnym działaczem, ale niewidzialnym duchem, który bezimiennie budzi w sercach rodaków najszlachetniejsze uniesienia, zaszczepia w ich umysłach najwznioślejsze zasady. Okryty cieniem przetrwał 1863, okryty cieniem napisał tomy artykułów polityczno-społecznych i literackich w wydawnictwach perjodycznych i między nimi także w *Prawdzie*, okryty cieniem wkłada olbrzymią swą wiedzę w *Encyklopedję*. Jego nazwisko ukazywało się czasem pod artykułami lub na okładce książki (ostatnio *Sto lat myśli polskiej*). To też daleko więcej o nim wiedzieli blizcy świadkowie jego pracy, niż ogół, który z niej korzystał. Wszystko w nim było czcigodne, a tylko jedno zasmucające: dał narodowi mniej, niż mógł ze swej zdumiewającej erudycji i swego niepospolitego talentu. Wielki bogacz rozdawał swój skarb na ofiary i jałmużny. Drapieżne warunki życia rozkradły go i ograbiły. Wielka szkoda. Niewielu w 70 roku może spojrzeć poza siebie z takim żalem, ale też niewielu z taką dumą. Nie potrzebuje spowiadać się z ciężkich grzechów, co najwyżej otrząśnie tylko kurz życia, który na najczystszych duchach osiada.

„UTOPJA W ROZWOJU HISTORYCZNYM”.

(Odczyty Aleksandra Świętochowskiego.)

XI.

Jedenasty odczyt A. Świętochowskiego zajęły utopje innego nieco rodzaju, niż poprzednie. Gdy utopiści, o których była mowa dotychczas, chcieli uszczęśliwić ludzkość zapomocą mniej lub więcej głębokich przeobrażeń instytucji i stosunków społecznych, tworzyli zatym utopje społeczne we właściwym tego słowa znaczeniu, autorzy, którzy stanowili przedmiot wykładu jedenastego, dali nam utopje, które nazwać można technicznymi, opierały bowiem swe nadzieje na wpływie tych lub innych wynalazków. Utopje tego rodzaju są bardzo stare, bo już w końcu XVIII wieku Ludwik Mercier marzył o cudownych

zmianach w układzie stosunków ludzkich, dzięki udoskonaleniom technicznym. Laszwitz i Haye dali również bajki raczej, niż utopje. Fantazja Haye'a szczególniej unosiła go daleko od możliwości realnych. Opanowanie przez człowieka nietylko wody i powietrza, ale i głębin morskich i wnętrza ziemi, które stają się miejscem zamieszkania ludzi, należy już do krainy bajek czarodziejskich.

Siły, które ludzkość ma odkryć, dadzą jej nadzwyczajne środki do walki z naturą i wpłyną na takie rozmnożenie rasy białej, że, aby zrobić jej miejsce, trzeba będzie wytępić rasy kolorowe, co leży też w programie Haye'a.

Nieco inny charakter od utopji czy bajek powyższych ma bardzo popularna przed kilkudziesięciu laty, dwukrotnie przełożona na język polski, powieść Bellamy'ego „W roku 2000". Przedstawia nam on stan, do jakiego doszły społeczeństwa ludzkie, dzięki przemianom, dokonanym ściśle według materjalistycznego pojmowania dziejów.

Bellamy dał obraz urzeczywistnionego ustroju socjalistycznego, korzystającego już ze wszystkich udoskonaleń technicznych, które bądź to już weszły w życie, bądź wejść mogą w blizkiej przyszłości.

Najważniejszą wszakże postacią o której sz. prelegient mówił w swym wykładzie jedenastym, jest bezwątpienia William Morris, którego pisma i działalność nie pozostały bez pewnego wpływu kulturalnego. Ideją jego była religja piękności, odrodzenie ludzkości przez sztukę. Prowadził on przez pewien czas fabrykę mebli i przedmiotów, służących do ozdoby mieszkania i przyczynił się tym niemało do podniesienia poziomu estetycznego zewnętrznych warunków życia. Człowiekowi chciał powrócić jego indywidualność, zadowolić jego naturalny instynkt twórczy i dlatego był wrogiem maszyny, która rolę twórczą człowieka zupełnie unicestwia. Fabrykę i wielkie miasto zastąpić powinna ręczna praca w pięknych miastach—ogrodach, gdzie człowiek, jak artysta tworzyć będzie dzieła, noszące piętno jego indywidualności. Organizację społeczną opiera Morris na własności wspólnej, pomimo to chociaż sam uważał się za socjalistę był w rzeczywistości anarchistą w szlachetnym znaczeniu tego słowa.

Wspomniawszy jeszcze nazwiska Richardsona i Mantegazzy, sz. prelegient zakończył przedmiotową historję utopji, zapowiadając, że w wykładzie ostatnim da ogólny na nie pogląd.

i. p.

Plebanja z resztek.

Dobre gosposie po uraczeniu licznych gości przygotowują nazajutrz dla domowników obiad z resztek. Podobnie uczynił gospodarz parafji, wybudowawszy z pozostałych od budowy kościoła „resztek" piękną plebanję.

A stało się to tak.

W ziemi ciechanowskiej we wsi Sońsk potrzebny był kościół. Więc go zbudowano dużym kosztem. Ale proboszcz jest estetą; raziło go to, że przy nowym kościele stać ma stara, choć zupełnie jeszcze dobra na mieszkanie plebanja. Obmyślił przeto tak kosztorys, żeby pozostała pokaźna „resztka", za którą mógłby sprawić parafianom miłą niespodziankę: wspaniały dom o 11 pokojach dla „ubogiego sługi bożego".

Podobno między owieczkami znalazł się kozieł, który z tego powodu zrobił złośliwą uwagę. Ale ksiądz proboszcz odparł trafnie, że skoro papieżowi wolno jest mieć 11 tysięcy pokojów, to prostemu proboszczowi w Polsce za złe poczytanym być nie powinno, jeśli ich ma tylko jedenaście.

Parafjanie powtarzają sobie dowcip swego pasterza, a oczy pieszczą widokiem dworu zbudowanego z resztek. A podobno księża, marjawici, budują sobie po jednym pokoiku, przy kościołach które obsługują im stróże. Ale to są heretycy, którzy nie mają przy sobie gospodyń i siostrzenic, a wiadomo, ród niewieści żyjący po plebanjach, umartwień nie lubi.

St. Poraj.

Nasze kalectwo.

Demokratyzm, demokratycznie, demokracja odmieniamy chórem na wszystkie przypadki i formy. Jak kula bilardowa toczy się wyraz z ust do ust gładko, dźwięcznie, posłusznie, niby odprysk żywej treści, wypełniającej dusze nasze po brzegi i z nadmiaru bogactwa swego wylewającej się na zewnątrz.

Tymczasem jest to tylko wydmuch próżnej przestrzeni, bańka mydlana, barwnie mieniąca się w słońcu, lecz pustką wydęta. Stwierdza to każdy, kto bezstronnie i uczciwie obserwuje życie nasze. W narodzie polskim — pisze *Głos płocki* — istniały głównie dwa stany: „góra" i „dół" pośredniego nie było. Kto nie mógł być na samej górze, starał się choć jej klamki uczepić i uniżoną służbą łaski sobie skarbić. Służalczość, lokajstwo tych poprzedników naszych takie głębokie ślady zostawiły w duszach polskich, że wogóle nie rozumiemy życia na płaszczyznach równości. Demokratyzm mamy w teorji, arystokratyzm w praktyce.

Najsilniej uwydatnia się to na wsi; tam prawie wyłącznie żyje nasza demokracja narodowa, ale „jaśnie panie", „wielmożny panie", z ust ludziom nie schodzi. Chłop jest po staremu „chamem" i do „wielmożnego pana" bez czapki w ręku zbliżyć się nie waży, dalej poza próg dworskiej sieni posunąć nie ośmieli, i choćby najpilniejszą miał sprawę, cierpliwie godzinami przed gankiem wyczekiwać będzie, aż „wielmożny pan" wyjść doń raczy, łaskawie w ręce ucałować się pozwoli i wysłuchać zachce. Na zebranie kółka rolniczego lub gromady gminnej „jasny pan" jeśli rzadkim wypadkiem przybędzie, szuka wzrokiem przedewszystkim takiego jak sam jasnego pana sąsiada i z nim się witać idzie, gospodarzy zebranych pomija, nie widzi. "Sam mi się oświadczył, że mnie zabierze na zebranie rolnicze, okręgowe — przytacza *Głos płoc.* opowiadania jednego z gospodarzy — lub na inną, potrzebę społeczną; przyszedłem w oznaczonym czasie, zemeldowałem się, czekam, ale w końcu znalazła się przyczyna, że miejsca nie było. Gdybym był wcześniej wiedział, powlókłbym się sam na swojej szkapie". Żadnego „wielmożnego pana" tak potraktować niktby się nie ośmielił, lecz z „chamem" tylu ceregieli nie potrzeba.

I z przykrością zaznaczyć trzeba, wszystkie warstwy zarażone są tą chorobą. W miasteczku zakładają straż ogniową. „Pewnie rzemieślnicy zapiszą się na strażaków — mówią synowie „obywateli" — bo nam to nie pasuje", rzemieślnicy znów krzywo patrzą na chłopów. Oprawca niezręcznemu czeladnikowi swemu wymyśla w gniewie: „Tobie szewcem być a nie porządnym majstrem". I tak na wszystkich szczeblach drabiny. Co tu się dziwić, że wobec tego braku łączności, tej wzajemnej pogardy, wszystko co zacząć, rwie się wprędce i w gruzy rozpada. Pycha wynoszenia się ponad drugich gasi wszystkie po kolei ognie pracy społecznej i kulturalno-oświatowej tak pracowicie i z takim trudem rozniecone. Ludzie obok siebie pracować, obok siebie stać nie chcą. Jeden nosa zadziera i z góry traktuje, drugi jest tak wrażliwy, że wszystko za zniewagę swego honoru bierze — i koniec próbie, wyjścia z niej żadnego niema.

W stadzie wilków znalazłoby się może więcej braterstwa, niż wśród nas. Mnożą się też coraz więcej wszelkiego rodzaju „niepożądane objawy" świadczące o głębokim zatruciu organizmu społecznego, o wielkim obniżeniu instynktu zdrowego życia.

Za jeden z najsmutniejszych uważa *Głos płocki*

osłabienie prądów oświatowo kulturalnych na prowincji. Coraz mniej ludzi chętnych do pracy na tym polu, a co gorsze, coraz mniej chcących korzystać z tej pracy. I żądnych oświaty, i gotowych nieść jej światło w ciemności — ogromnie ubyło. Gdzież się podzieli? Gdzie ponieśli swój nadmiar energji, żądnej czynu, swoją ciekawość, żądną wiedzy? W pojedynczych wysiłkach łatwo wyczerpuje się siła ducha i ciała. A nam zawsze i wszędzie brak zespołu, wytwarzającego atmosferę ciepła i ufności, w której jedynie dusze mogą nauczyć się wzajemnie do siebie przybijać i trwać mocno.

Z Centralnego Towarzystwa Rolniczego.

W Centralnym Towarzystwie Rolniczem odbyło się w połowie grudnia kwartalne posiedzenie przy licznym udziale i zainteresowaniu się członków.

Pamiętam przed kilkunastu laty pierwsze kroki rolnego zrzeszenia, kiedy na posiedzenia Sekcji Rolnej przy Tow. Pop. Przem. i Handlu zaledwie nas kilkunastu przyjeżdżało. Zmieniły się dzisiaj czasy i ziemianie nie tylko nie lękają się już fachowej wiedzy rolniczej, ale zrozumieli i wartość zawodowych zrzeszeń rolniczych. Europejska kultura rolna wkracza szybko i na mazowieckie piaski.

Ale czyż w całości?

Obradowano przy szczelnie wypełnionej sali, gdy na porządku dziennym była kwestja biura robotników sezonowych, mogącego zapewnić rolnikom tańszego robotnika, gdy referowano o gospodarstwach poznańskich, które służą za wzór, jak stosować do ziemi najnowsze wyniki wiedzy rolniczej i ścisłej rachunkowości, by podnieść rentę do możliwego maximum.

Lecz oto na porządek dzienny przychodzi kwestja zabezpieczenia bytu pracowników rolnych. Referent p. Kączkowski daje barwny obraz doli emeryta rolnego, którego oczekuje żebranina, albo w rzadkim bardzo razie, los gracjalisty zależnego od pańskiej łaski i fortuny,

Inny mówca p. Antoni Hempel w gorących słowach nawołuje ogół ziemiański, aby nie czekając strajków i zamieszek, podczas których pomyślano o oficjalistach na Rusi, zajął się zapewnieniem im emerytury przez współudział w niezależnym od łaski pracobiorców stowarzyszeniu emerytalnym...

Niestety... Gorące słowa odbijały się o puste ławki. „Ogół ziemiański” zamiast w sali posiedzeń, gdzie mówiono o nieinteresującej kwestji bytu „parobków”, wolał stawić się w komplecie w klubach i kabaretach... *Ag.*

Użyteczność telefonów.

Dyrektor telefonów warszawskich według *Dnia* utrzymuje, że najwięcej rozmów ze wszystkich miast europejskich przypada na Warszawę (20 dziennie). Nic w tym dziwnego. Zagranicą telefony służą do porozumiewania się w sprawach zawodowych, urzędowych i towarzyskich a u nas nadto do bezimiennych wymysłów. Cała ta wielogłowa i dzika horda napastników i paszkwilantów, która dawniej rozsyłała błoto w kopertach, wylewa je obecnie po drutach. Są poczciwi rodzice, którzy pozwalają swym dobrze wychowanym dzieciaczkom bawić się w wolnych chwilach telefonowaniem grubijaństw do osób nieznajomych i ogromnie cieszą się, słuchając ich obelżywych dowcipów. A jeśli redakcja jakiegoś niepobożnego pisma dotknie w nim czarnych aniołów z długimi połami, cała armja tercjarzów i tercjarek rozpocznie kanonadę telefoniczną. Wtedy poznać można bogactwo słownika rodzimych *apaszów*.

LITERATURA i SZTUKA.

O Juljuszu Słowackim. *J, Kleiner. I. Matuszewski, Jan Koneczny.*

Rocznica jubileuszowa Juljusza Słowackiego wywołała liczne rozprawy i przyczynki związane z jego imieniem. Rozważymy tu niektóre, gdyż nie podobna zajmować się wszystkimi. Są to po większej części dysertacje studenckie lub rozprawy nauczycielskie. Do ostatniego typu należy książka d-ra Juljusza Kleinera p. t. *Studja o Słowackim* (Tow. Wydawn. Lwowskie. 1909).

Są tu trzy rozprawy. Pierwsza bada *Patryjotyzm Słowackiego*; autor pochwytuje tu ciekawy fenomen, mało dotąd dostrzegany, że pierwsze utwory J. Słowackiego (pomijając pieśni z r. 1831) nie zawierają w sobie nic z elementu patryjotycznego. Słowacki rozwijał się początkowo jako poeta żyjący dla poezji — i w społeczeństwie normalnym niewątpliwie takby się rozwijał. Ale rok 1830, nieszczęścia krajowe, emigracja, Towiańszczyzna — wszystko to wpłynęło na posępną duszę Juljusza i od trosk indywidualnych, od Byroniczności — przerzucił go do wyższych i najwyższych sfer miłości ojczyzny — tak iż stał się on *par excellence* poetą ojczyzny od jej najdalszego wczoraj — po najdalsze prorocze jutro. Słowacki mógł, podobnie jak Mickiewicz, powiedzieć o sobie, że jest w ojczyznę wcielony. Autor wykazuje na utworach Słow., jak to uczucie stopniowo rosło i rozwijało się w jego duszy, aż się streściło w Królu—Duchu.

Druga rozprawa dotycze właśnie *Króla—Ducha* — i bada gienezę i rozwój pomysłu do tego poematu, który aczkolwiek niedokończony, jest może najważniejszą księgą, jaką wydało piśmiennictwo polskie. Jest to mistyczna interpretacja dziejów polskich nie pozbawiona pewnej cechy osobistej, ile że Słowacki przemawia ciągle w pierwszej osobie — i podobno sam siebie miał uważać za wcielenie ostatnie. Autor wykazuje pierwiastki Króla — Ducha w tragiedjach (Roza Weneda i Popiel), w jego rozprawach filozoficznych) Genezis, Teogonja, Djalog, Atessa); dalej przedstawia przypuszczalny plan wcieleń Ducha (Popiel, Mieczysław, Bolesław Śmiały, ks. Michał Twerski, Jagiełło). Rozróżnia w poecie pierwiastek heljoniczny i anhelliczny, czyli pierwiastek energji i czynu, oraz marzenia i niemocy. Nakoniec bada postaci kobiece w tym poemacie i rozważa hipotezę p. Z. Przesmyckiego o Zofji Węgierskiej, nie przyznając mu słuszności. Rozdział ten moim zdaniem błahszy; godne uwagi natomiast przypuszczenia dotyczące ducha odrębnego od Króla Ducha t. j. od Słowackiego samego, a którym jest rzekomo Mickiewicz (Zorjan).

Zaznaczę tylko trzecią rozprawkę p. Kleinera (*Muzyka u Słowackiego*) i zwrócę uwagę na bardzo ciekawe studjum, które świeżo pomieścił w *Sfinksie* (zeszyt IX, 1909 r.) p. I. Matuszewski. Rzuconą przez p. Kleinera myśl o Królu—Duchu — Mickiewiczu obok Króla—Ducha — Słowackiego — niezależnie zresztą—p. Matuszewski rozwija w rzeczy p. t. *Król—Duch czy Króle—Duchy.* Zdaniem autora Słowacki miał zamiar obok swojej metempsychozy podać w szeregu innych postaci metempsychozy Adama Mickiewicza. Stąd pochodzą przerwy w Królu—Duchu; siebie samego wystawił Słowacki w Popielu,

Piaście, Mieczysławie I-szym, Bolesławie Smiałym, gdy Mickiewicz miał wcielenia takie, jak Bolesław Chrobry, Swięty Stanisław, Jagiełło; umiejętne cytaty czynią przypuszczenie p. I. Matuszewskiego wiarogodnym. Zorjana nie uważa p. M. za wcielenie Mickiewicza: duch to zbyt słaby — i nie mający w sobie tej granitowej mocy, jaką się odznacza duch Mickiewicza.

Wogóle sprawa Króla—Ducha staje się coraz bardziej przedmiotem badań, a szczególna zagadkowość tego jedynego w swoim rodzaju poematu — nęci niezmiernie badaczy. O ile słuszną jest droga śledzeń biograficznych w gienezie Króla—Ducha — nie podobna dziś decydować. W każdym razie zdaje mi się raczej, że należałoby badać poemat poza wszelką sferą osobistą poety i traktować go jako zjawisko objektywne. Dlatego słuszniej może czynią ci, którzy widzą w *Królu—Duchu* wyraz jego wiary mistycznej lub okultystycznej.

Wreszcie mamy do zanotowania małą rozprawkę p. J. Konecznego (Lwów—1909) p. t. *Juljusz Słowacki w świetle okultyzmu.*

Myśl zasadniczo jest dobra, ale p. Koneczny przystępuje do rzeczy, jako wierzący okultysta nie umiejący zresztą wiary swej przedstawić. Cała jego historja okultyzmu uczy nas tylko o jakiejś bardzo ciemnej sprawie, której mistrze najlepsi nie są w stanie wyłożyć, a gdy nam p. Koneczny cytuje rzekomo bezdennie głębokie aforyzmy z Bhagavadgîty, Upaniszad, Eckharta, Fr. Hartmana, M. Colinsa, Towiańskiego, Swedenborga i in. — to właściwie daje nam szereg bardzo poczciwych nauczek i zdań moralnych, które się mało czym różnią od nauk katechizmowych. Z całej rozprawki p. Konecznego wynika nieokreśloność tej doktryny, którą mu się podoba nazywać okultyzmem, boć ostatecznie fakt, że dwa razy dwa daje cztery — jest równie mistyczny jak np. takie zdanie *Karma—Yogi*: czyń dobrze, bo dobrze jest czynić dobrze. Na tle tych niejasnych pojęć chce p. Koneczny rozjaśnić niejasności Króla—Ducha i in. pism Słowackiego. Nie można powiedzieć, aby mu się to powiodło.

A. Lange.

Z nowych książek.

Księgarnia Połonieckiego wydała (w zbiorze „Symposion") dwa przekłady klasyków francuskich godne czytania. Zamiast sprawozdania podajemy z nich wyjątki.

Michał Montaigne: **Wybór pism**, przekład Stanisława Lacka.

Trzeba zerwać te mocne zobowiązania; i odtąd lubić to i owo, ale nie wiązać się jeno z sobą: to znaczy, wszystko inne, niechaj zarówno do nas należy, lecz niechaj się do nas nie przylepie i nie przytwierdza, iżby go oderwać nie można, nie zdzierając razem skóry, nie wyrywając razem jakiegoś kawałka naszej istoty. Największą rzeczą na świecie jest umieć należeć do siebie.

Wy i jakiś jeszcze towarzysz stanowicie całkowite teatrum jeden dla drugiego, lub też każdy dla siebie samego; lud niechaj będzie dla was jeden, jeden niechaj będzie całym ludem. Nędzna to ambicja chcieć ciągnąć zysk chwały ze swego próżnowania i swej kryjówki: trzeba postępować jak zwierzęta, które zacierają ślady u progu swych nor.

Vauvenargues: **Uwagi i myśli**, przekład Jana Kasprowicza uzupełniony studjum Ellen Key.

Jasność jest ozdobą myśli głębokich. Zawiłość jest królestwem błędu. Niema chyba błędów, które wyrażone jasno, nie rozwiałyby się same przez się.

Niema chyba prawdy, któraby w niektórych umysłach ograniczonych nie stała się błędem.

Kilku błaznów powiedziało sobie przy stole: my tylko dobrym jesteśmy towarzystwem. I uwierzono im.

Ludzie zdolni byliby prawie całkiem samotni, gdyby nie głupcy, którzy się nimi szczycą.

Po czasie i ludziach wszystkiego się można spodziewać i wszystkiego obawiać.

Jeżeli namiętność udziela nam czasem zuchwalszych rad, niż rozsądek, to dlatego że daje nam więcej sił do ich wykonania. Jeżeli namiętności popełniają więcej błędów niż rozsądek to z tej samej racji, z jakiej władcy popełniają więcej błędów, niż ludzie prywatni.

Młodzież cierpi daleko mniej z powodu swych błędów, aniżeli dzięki mądrości starców.

Człowiek jest dzisiaj w niełasce u wszystkich myślących, a wygrywa ten, kto go najwięcej hańbi. Ale, być może, dochodzimy znowu do chwili, kiedy człowiek się podźwignie i zażąda przyznania mu wszystkich cnót, których mu odmawiano; filozofia bowiem tak samo podlega modzie, jak stroje, muzyka, budownictwo i t. p.

Występek wznieca wojnę, ale tylko cnota walczy. Gdyby nie było cnoty, mielibyśmy spokój na zawsze.

Poddani daleko większą mają przyjemność w składaniu hołdów niż władcy w ich przyjmowaniu. Zawsze pobudza nas więcej zdobywanie niż używanie.

Ludzie obdarzeni tylko rozumem posiadają zmysł dla rzeczy wielkich, lecz namiętność tylko dla małych.

Jeżeli los pragnie poniżyć mędrców, zachodzi ich znienacka przy okazjach drobnych, kiedy człowiekowi zdaje się, że nie potrzeba mu ani uwagi, ani obrony.

Czyny nasze nie są ani tak dobre, ani tak występne jak nasze zamiary.

Niema niczego na świecie, czegoby ludziom nie wmówiła obawa lub nadzieja.

Z słabości i obawy, aby nimi nie gardzono, zatajają ludzie swoje najdroższe, najstalsze a nieraz i najcnotliwsze skłonności. Niema krzywdy, którejbyśmy nie przebaczyli, pomściwszy się wprzódy.

NOTATKI SPOŁECZNO-EKONOMICZNE.

Stan robotniczych towarzystw współdzielczych we Francji.

Podajemy poniżej dane statystyczne, dotyczące ruchu kooperacyjnego *wytwórczego* we Francji w 1908 r. W dn. 1 stycznia 1909 ogólna liczba tych towarzystw wynosiła 431, t. j. o 17 więcej, niż w roku poprzednim. Jednak według sprawozdania ostatecznego wzrost ten jest pozorny i w rzeczywistości nie przenosi 4 towarz., gdyż w ciągu 1908 r. powstało nowych spółek 50 i rozwiązano w przeciągu tegoż czasu 41. Towarzystwa te według działów przedstawiają się następująco:

przemysł rolniczy i leśny	—	6 tow.
„ chemiczny	—	1 „
„ metalowy	—	38 „
„ papierowy	—	18 „
„ włóknisty		
„ odzież i galanterja	—	23 „
„ skórzany	—	24 „
„ drzewny, korkowy, kościany	—	40 „
„ kopalnie	—	8 „
„ artykuły spożywcze	—	8 „
„ roboty publicz. i budowl.	—	141 „
„ huty szklane i przedsięb. kamien.	—	22 „
„ transport i przechowanie	—	38 „
„ różne	—	14 „

Liczba członków w 422 towarzystwach wytwórczych wynosi 18,702. Do najliczniejszych należą spółki artykułów spożywczych (627 czł.) kopalniane (582 czł.) drzewne (1,047), skórzane (891), metalowe (3,219), robót pulicznych (1,821), szklane (1,710), transportowe (1,534).

Towarzystwa te posiłkują się robotnikami, nienależącymi do zrzeszenia (264 towarz. najmują 6,312 robotn.) zaś 65 spółek, czyli 25% ogólnej ich liczby zatrudnia kontygens pracowników, przewyższający ogólną liczbę robotników stowarzyszonych, czyli że występują już one w roli anonimowego pracobiorcy i niczym się nie różnią pod względem formalnym od przedsiębiorstw kapitalistycznych, funkcjonujących dzięki pracy najemnej. W 378 spół. liczba stowarzyszonych robotników, pracujących osobiście w przedsiębiorstwach zbiorowych przedstawia się tak według tabeli poniższej:

w 2 spółkach	(0,53 proc. ogóln. liczby)	stowarzyszeni nie pracują zupełnie.	
„ 2 „	(0,53 proc.)	pracuje mniej niż	1 proc.
„ 17 „	(4,50 proc.)	„ od	1 — 10 proc.
„ 30 „	(7,94 proc.)	„ „	10 — 25 proc.
„ 37 „	(9,79 proc.)	„ „	25 — 50 proc.
„ 38 „	(10,65 proc.)	„ „	50 — 75 proc.
„ 23 „	(6,08 proc.)	„ „	75 — 100 proc.

Suma obrotów w 390 towarzystwach w roku 1908 dosięgła 54,637,900 franków. Dzieli się ona w sposób następujący:

w 41 spół.	suma poniżej lub równa —	10000 fr.
„ 79 „	„ od 10001 —	25000 fr.
„ 90 „	„ „ 25001 —	50000 fr.
„ 74 „	„ „ 50001 —	100,000 fr.
„ 91 „	„ „ 100001 —	500,000 fr.
„ 10 „	„ „ 500001 —	1,000,000 fr.
w 5 spół.	wyższa niż	1.000,000 fr.

Tak się przedstawia w świetle cyfr stan robotniczych towarzystw wytwórczych. Rozwój tych instytucji świadczy o stopniu rozwoju inicjatywy w środowisku klasy robotniczej, która drogą organiczną stwarza zaczątki nowego ustroju. Ruch ten, jak wiadomo, stanowi dziś podstawę teorji utopijnych z dziedziny reform gruntownych i przeobrażeń społecznych. Nie miejsce tu jednak na ocenę roli i znaczenia robotniczych spółek wytwórczych, ani też na podkreślanie zmian, jakim ciągle podlega ten ruch współdzielczy we wszystkich krajach; przytoczymy natomiast jeszcze kilka cyfr, ilustrujących stan towarzystw *spożywczych* w 1908 r. We Francji liczba tych spółek w d. 1 stycznia 1908 r. wynosiła 2,491, t. j. o 195 więcej niż w roku poprzednim. Liczba zaś członków w 2,412 tow. podniosła się do 749,810. Suma obrotów w 2,268 spół. dosięgła 228,258,100 franków. Tabela poniższa wskazuje na stopień rozwoju i zamożności spółek według grup oddzielnych:

w 219 tow.	suma mniejsza niż	10,000 fr.	(9,66 proc.)
w 521 „	od 10,000—	25,000 fr.	(22,97 proc.)
w 643 „	od 25,001—	50,000 fr.	(28,35 proc.)
w 429 „	od 50,001—	100,000 fr.	(18,92 proc.)
w 292 „	od 100,001—	250,000 fr.	(12,87 proc.)
w 102 „	od 250,001—	500,000 fr.	(4,50 proc.)
w 38 „	od 500,001—	1000,000 fr.	(1,67 proc.)
w 24	suma przewyższająca 1000,000 franków.[1]		

Liczby to pokaźne, świadczą o systematycznym wzroście towarzystw współdzielczych, które jednak rozwijają się oddzielnie od instytucji robotniczych zawodowych. Ostatnio we Francji ruch kooperacyjny zdaje się przewyższać ruch robotniczy zrzeszeniowy na gruncie obrony interesów czysto ekonomicznych.

Henryk Lukrec.

[1]) Questions pratiques de l'egislation ouvrière et d'economie sociale. Nr. 10 i 11.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

W skrzynce redakcyjnej *Ziemi lubelskiej* znalazł się następujący list, który to pismo pomieściło.

Panie Redaktorze!

Ja widzę, co wy, panowie Polacy, oburzacie się na ruskich, że chcą odebrać wam swoje rdzenne, ruskie ziemie, i wymawiacie, że apetyt niepomiernie wzrasta i inne różne dziwy wymyślacie. A ja wam powiem, siedźcie cicho i nie wywołujcie licha, bo jak zaczniemy badać źródła nazw różnych wsi, miasteczek i miast, to co wam zostanie?

Ot, np. w powiecie ciechanowskim, gub. płockiej są wsie: Krasne, Szczuki, Szwejki i t. p. Przecież wiadomo, że szczupak po rusku *szczuka*, szwaczka—*szwejka*, a ładny lub piękny — po rusku *krasnyj*, a zatym widzicie panowie, że powiat ciechanowski to nie kolebka Mazurów, ale odwieczna ruska ziemia.

Idźmy dalej: nazwa miasta Wieluń od czego pochodzi? od słowa *wielet'*—rozkazywać; otóż kiedyś jakiś kniaz ruski *wieleł*, t. j. kazał, żeby tu było miasto, no i jest. Pilica od *pilit'*, Tuszyn *tuszit'* (gasić). A naprz. Iwanowice, niedaleko Kalisza? Czyż to nie czysto ruska nazwa? Przecież nikt nie będzie dowodził, że Iwan, to polskie imię!

Jednym słowem, dobrze, uważnie badając, przekonamy się, że niema powiatu, w Królestwie Polskim, w którym nie byłoby miasta, miasteczka lub wsi z nazwą pochodzenia ruskiego.

Dziękujcie zatym Bogu, panowie Polacy, że wam nie zabieramy wszystkiego.

Mikita Iwanow.

Co by p. Iwanow powiedział, zapytuje *Gaz. Warsz.* gdybyśmy na podstawie tych dowodzeń zgłosili nasze pretensje do Kijowa, wyprowadzając jego nazwę od „kija", a Niemcy — do Petersburga?

* Komisja międzywydziałowa w Petersburgu opracowała w ogólnych zarysach rozwinięcie komunikacji wodnych w państwie rosyjskim. Są to plany bardzo szerokie i bardzo ciekawe. Linja połączonych wód jednej tylko arterji środkowej — ma ich być trzy — opierałaby się z jednej strony o granicę austryjacką w Zagłębiu Dąbrowskim, z drugiej o Ocean Spokojny. Ale dla nas najciekawszą jest rola przeznaczona Wiśle w tych planach biurokratyzmu marzycielskiego.

Komisja wyraźnie i bez ogródek zaznacza — pisze p. H. R. w *Gaz. Warsz.* — że ulepszenie spławu Wisły „należy uzależnić od programu, zgodnego z interesami Rosji", a „przed zasadniczym ulepszeniem spławu Wisły dokonać studjów nad najdogodniejszym dla Cesarstwa połączeniem tej rzeki z innymi drogami wodnymi Rosji Prace te powinny być tak przeprowadzone, ażeby jak największy przyniosły pożytek Rosji",

Rzecz prosta, w użytkowym traktowaniu Wisły „dla celów ogólno-państwowych" widzi autor groźne dla przyszłości gospodarczej kraju skazanie ją na los Kopciuszka, któremu odmawia się rzeczy najniezbędniejszych a czego odmówić nie można, daje się w jak najlichszym gatunku i za najtańsze pieniądze. Protokół komisji domaga się oszczędności nawet w wydatkach, do których państwo zobowiązało się konwencjami międzynarodowymi, mianowicie, że

regulować Wisłę na pograniczu austryjackiem (do czego zobowiązana jest Rosja w myśl konwencji z r. 1864), należy

tylko w minimalnych rozmiarach, „bynajmniej nie zezwalając na wydatkowanie rosyjskich funduszów państwowych, np. na pogłębienie koryta ponad to, czego konwencja wymaga“. Również i w sprawie regulacjs piętnastowiorstowego dystansu Wisły od Nieszawy do granicy pruskiej, zdaniem komisji, należy ograniczyć się do tego minimum, jakie dyktują tylko względy „dobrego sąsiedztwa“.

Takie stanowisko komisji urzędowej—dodaje p. R.— ważnym jest przyczynkiem do wyświetlenia zakresu „korzyści ekonomicznych“, jakie ma i miało Królestwo Polskie ze skutków „dobrodziejstwa“ przynależenia do państwa rosyjskiego, o czym tylokrotnie, skądinąd nawet poważni ekonomiści rosyjscy głosili i głoszą, — nie mówiąc już o tendencyjnie zabarwionych głosach „polityków“.

* Bolesnym jest dla każdego z nas — woła *Dziennik Kijowski* — przymusowe wywłaszczenie Polaków z ziemi pod zaborem pruskim, ale jeszcze boleśniejszym dobrowolne wywłaszczanie się na innych kresach. Do r. 1875 prawie wszystkie majątki na 20 wiort dookoła Korca należały do Polaków; w ciągu 20 lat ostatnich więcej niż 15 przeszło w ręce obce. Wielkopańskie fortuny stoją nietknięte, szlachta chodaczkowa trzyma się swego zagonu zajadle, tylko pankowie spłukać się dali fali czasu.

Przyczyna—zawsze ta sama; wszędzie życie nad stan, utracjuszowstwo i niedbalstwo. Zaledwie w jednym lub w dwu przypadkach sprzedaż majątku nastąpiła nie z winy właścicieli. W obecnej chwili mamy 2—3 majątki (jedne z piękniejszych i większych w naszym powiecie), których właściciele, jak to mówią, ledwie dyszą i pierwej, czy później posiadłości przejdą w ręce obce. Lecz czy chcą widzieć swój upadek ci panowie, czy starają się uratować od groźnej sytuacji? Bynajmniej — wydają resztki i zaciągają pożyczki lichwiarskie na przyjemności i stroje, jadą za granicę „leczyć się“ z wyimaginowanych chorób.

Jakie to wszystko stare; dobrze znane i tak w porządku rzeczy leżące, że zdawałoby się niczyjej uwagi nawet nie powinno zwrócić. Szkoda łez dla próchna!

* Kathe Schirmacher, znana literatka hakatystyczna i bojowniczka międzynarodowa o prawa kobiety, odbywszy sześciotygodniową podróż po Król. Pol. i Rosji, opowiadała wrażenia swoje z tej wycieczki na zebraniu Ostmarkenvereinu w Gdańsku. W drodze z Katowic do Warszawy uderzyła ją nieuporządkowana kultura leśna i marny stan rolnictwa. Że Warszawa posiada kulturę zachodnią, może się to wydawać temu, kto przybywa ze wschodu, nie z zachodu. Nie ma ona własnego charakteru, lecz piętno pochodzenia saskiego, które zatraca wskutek bezmyślności swego budownictwa. Niemców w Warszawie jest 15,000, lecz wskutek zmieszania wyznaniowego powstaje internacjonalizm, który zmywa niemczyznę.

Uderzającą jest rzeczą, że Niemcy sympatyzują z Polakami. Jest to rezultatem sprawiedliwości abstrakcyjnej. W Rosji na każdym kroku uderzają ją skarby. Ale cóż, ziemię tę zamieszkuje naród niestworzony do organizacji. Miljony ludzi w Rosji nie mają pojęcia o znaczeniu oświaty. I kończy radą, żeby naród niemiecki coraz bardziej parł na wschód, gdyż jako nauczyciel i kierownik Rosji kraj ten zdobędzie dla nauki i sztuki niemieckiej (*Kur. Pozn.*).

* We Lwowie zaczął wychodzić trzeci w tym mieście organ młodzieży polskiej: *Zarzewie*, prócz niego istnieją tam jeszcze *Teka* i *Promień*.

W artykule wstępnym redakcja określa stanowisko swoje i zamierzoną działalność pragnieniem skupienia dokoła pisma

„tych żywiołów, których rozkład nie objął, znużenie i apatja nie opanowały“. Z nimi chce w imię najwyższej idei śród młodzieży pracować, „by wyrobić w niej tyle duchowych i fizycznych sił, żeby ich na codzienny obywatelski trud i na walkę starczyło, by wychować zastęp podchorążych, którzy sztandaru swego nie odstąpią.

„Wznieść lot młodości na właściwe jej wyżyny, niecić i skupiać życie, wyczekującym wskazywać drogę“

oto są zadania nowego pisma.

* W Nr. 50 etycznego tygodnika *Czystość* wydrukowano nowelkę p. Wacława Wolskiego pod tytułem „Niemiły wypadek“ — rzeczywiście niemiły jako świadectwo talentu autora i wybredności redakcji, która widocznie niezupełnie spokojna w swym sumieniu, tłumaczy się czytelnikom, że „choć artykułu nie uważa za odpowiedni dla pisma, pomieszcza go przez wzgląd na głośne nazwisko autora“. Niemiłym wypadkiem nazywa autor wiadomość o powieszeniu się córki prostytutki, odebraną w chwili oddawania się przez tą ostatnią pełnieniu obowiązków swego zawodu.

„Cóż mnie mogło właściwie obchodzić — mówi bohater nowelki — że córka jakiejś starej prostytutki, siwej prawie zupełnie baby, z którą przespałem, djabli wiedzą po co, noc całą, powiesiła się! .. Może lepiej się stało, gdyż mogłaby pójść w ślady zacnej mamy!... Tak się rozochociłem, że naciągając spodnie, żałowałem, że to nie ja byłem autorem tego anonimu, który uwiadomił Józię, jaką jest jej rodzinna parantela, że to nie ja przywaliłem ją tą ołowianą górą wiedzy o hańbie“...

W dalszym ciągu tego rozochocenia, na widok prostytutki, cuconej z omdlenia przez jakąś litościwą kumę, parska „jakimś szatańskim, obłędnym śmiechem“.

Oto do czego prowadzi manja hodowli „nadczłowieka“ w literaturze. Brak taktu i miary estetycznej wydaje jakieś rynsztokowe paskudztwo.

* P. Jan Popiel zabrał głos w *Dzienniku Pow.* w kwestji żydowskiej i rozwiązał ją w sposób dość nieoczekiwany, w duchu chrześcijańsko katolickim.

„Żydzi — pisze on — starają się o trzy rzeczy: pieniądze, potomstwo, potęgę i wszystkie trzy posiadają. Mnożą się jak piasek w morzu, pieniądze zdobywają wszelkimi sposobami a bogactwo daje im potęgę — przez nie rządzą całym światem. Najsłabszy wpływ mają tam jednakowoż, gdzie chrystyjanizm jest silny a nadewszystko gdzie panuje katolicyzm. W Tyrolu naprzykład, kto kiedy deklamuje przeciw żydom? Odpowiedzą mi, że ich tam niema, więc niema czego deklamować. Ale czemuż ich tam niema? Na to odpowiem już sam. Niema ich — bo niema dla nich pola; Tyrolczyk mniej przemyślny i mniej pracowity od innych Niemców, ale katolik twardy; nietylko w święto nie kupi, nie sprzeda, nie wyjedzie, nie najmie się, ale nawet gotowanej kolacji biedny, czy bogaty nie zje, i nawet kuracjusz lub turysta w Bozen, Brixen lub Meranie gotowanej kolacji nie dostanie. Ale za to sobota — dzień do interesów, cały handel, każdy w całym kraju targ w sobotę; lichwą nie zarobi, bo oszczędność panuje, pornografią nie — boby go zatłukli, na zbożu nie — bo go na sprzedaż niema, sklepem i handlem nie, bo do niego nie pójdą.

Wiedeń od razu skatoliczył się, i wyżydził, gdy O. Abel Karola Lügera ku kościołowi zwrócił i praktykować nauczył; a na ulice miasta wyprowadził procesje po sześć i ośm tysięcy *samych mężczyzn* bez jednej kobiety z różańcami w ręku, różaniec śpiewających, i puste dawniej Kościoły Wiednia przepełnił modlącymi się.

Przeciwko antisemityzmowi wyrastającemu z nienawiści p. Popiel protestuje jako prawy chrześcijanin. Jako człowiek uczciwy przyznaje żydom wielkie zalety i cnoty — przykład z nich brać każe; jako gorliwy katolik dla dobra swego kościoła, żydowskiej duszy i naszego narodowego zbawienia widzi jeden sposób wyjścia z trudności — nawrócenie wszystkich żydów na katolicyzm. Czyż nie najłatwiejszy? Trzeba ich tylko do tego nakłonić — nic więcej.

Książki nadesłane do Redakcji.

— Guy de Maupassant: Wybór pism II t „Prawdziwa historja i inne nowele". Gebethner i Wolff.

— Jerzy Bandrowski: „Romans Marty". Gebethner i Wolff. Warszawa.

— Walery Przyborowski: „Przyczyny upadku Polski". T. XXIX i XXX. Nowości literackie. Sadowski. Warszawa.

— Marja Konopnicka: „Pan Balcer w Brazylji". Gebethner i Wolff. Warszawa.

— Jerzy Żuławski: „Kuszenie szatana". Gebethner i Wolff. Warszawa.

— Kazimierz Przerwa-Tetmajer: „Na skalnym Podhalu". Warszawa, Geb. i Wolff.

— Michał Sobeski: „Przędziwo Arachny". Warszawa, Gebethner i Wolff.

— H. G. Wells: „Wojna w przestworzu" przeł. z angiel. Stefan Barszczewski z 12 rycinami. Warszawa, Gebeth. i Wolff.

— Kalendarz jubileuszowy Juljusza Słowackiego 1909—1910 r., z którego cały dochód przeznaczony na budowę pomnika Juljusza Słowackiego. Warszawa, Gebethner i Wolff.

— Boy: Z archiwum „Zielonego Balonika w Krakowie i Momusa w Warszawie. Nowe piosenki. Wende i S-ka. Warszawa.

— Gustaw Daniłowski: „Poezje". Wyd. drugie. Wende i S-ka. Warszawa.

— Michał Montaigne: „Wybór pism" w przekł. Stanisława Lacka. Wende i S-ka. Warszawa.

— D-r Roman Dybowski: „Milton i jego wiek". Warszawa, Wende i S ka

— Edward Bogusławski: „Społeczeństwo i cywilzacja". Warszawa, Wende i S ka.

— Teodor Bernadzikiewicz: „Ogród szkolny jako środek do podniesienia kultury rolniczej i ogrodniczej a w szczególności produkcji nasion". Warszawa, Wende i S-ka.

— D-r Leopold Brenneisen: „Rodzaje zębów sztucznych oraz wskazania do ich wyboru. Warszawa, Wende i S-ka.

— Wanda Haberkantówna: „Śmietnik". Opowiadania przyrodnicze z rysunkami". Warszawa, Wende i S-ka.

— A. Lange: „Dwie bajki: Historja o ptaku — co był psem i o psie co był ptakiem. Baśń o trzech królewnach i trzech królewiczach. Rysunki Ign. Protasiewicza.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy" (wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Redakcja otwarta w poniedziałki, środy i piątki od 3—4 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Roman Nowakowski.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.